



# ODGŁOSY



ROK XVIII NR 5 (895)

30 STYCZNIA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

„DZIENNIK ŁÓDZKI” — czyż można wyobrazić sobie bardziej prosty, ale jednocześnie bardziej, zobowiązujący tytuł gazety? W jakikolwiek sposób nie chciałoby się zacząć prezentacji numeru, nie można nie wspomnieć i podkreślić ogromu zasług, jakie dla miasta i jego mieszkańców ma praca tego zespołu redakcyjnego. Od 30 lat z dobrymi skutkami towarzyszy nam w codziennym życiu, w jego radościach i smutkach, w kłopotach i osiągnięciach dnia powszedniego. Dlatego — może skromnie, ale po staropolsku — STO LAT WSPÓLNEJ, DOBREJ ROBOTY!

Tej zresztą nigdy za wiele, gdy chodzi o spełnianie programu naszych narodowych nadziei i ambicji. O tym, w jaki sposób wykorzystują swe możliwości przy realizacji przyjętych zadań rolnicy z powiatu sieradzkiego, pisze R. Binkowski.

Reporterskie szlaki naszych kolegów wiodą w tym tygodniu między innymi do Japonii — I. Potęga opisuje „Weekend na wyspie Roko”, Andrzej Makowiecki trafił do najstarszego miasta świata — Damaszku, Ludwik Świeżawski natomiast dzieli się swymi wrażeniami z pobytu w Szwajcarii. Z tej ostatniej relacji wynika, że sławny szwajcarski przemysł zegarmistrzowski, wziął swój początek od naprawy zegarka, której dokonał w XVII wieku... kowalski terminator.

Podobno każdy uśmiech przedłuża życie o 5 minut, z prośbą zatem o jak najczęstsze uśmiechy, J. Wilmański serwuje naszym Czytelnikom próbkę humoru i satyry z ostatniej kolumny „Litieraturnej Gazety”.

Z dorobku pisarzy łódzkich, oprócz omówienia drogi twórczej Jerzego Jarmołowskiego, poety który debiutował w r. 1960, drukujemy przekłady T. Chrościewskiego z literatury rosyjskiej. Choć ten znany poeta, prozaik i filolog nie stronił od przekładów prozy, to jednak jego pasje translatorskie skupiają się głównie na poezji. Siegnęliśmy do klasyki rosyjskiej i przekazujemy kilka mało znanych tekstów świadczących o związkach i splataniu się kultur obu naszych narodów.



## SPRZĘŻENIA ZWROTNE WSPÓŁCZESNOŚCI

### Rozmowa z TOWARZYSZEM ZBIGNIEWEM ZIELIŃSKIM, I SEKRETARZEM KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR, PRZEWODNICZĄCYM WRN

Polityczne, gospodarcze i społeczne przemiany, jakie przechodzi kraj sprzyjają także intensywnemu rozwojowi województwa łódzkiego. Na ostatni rok bieżącej pięciolatki przyjęto zadania znacznie wyższe od tych, jakie określał plan gospodarczy. Powstaje już plan na następne pięciolecie, na lata 1976—1980.

— Jakie warunki i które z osiągnięć złożyły się na koncepcję dalszego rozwoju Ziemi Łódzkiej?

— Koncepcję dalszego rozwoju województwa — mówi I sekretarz KW PZPR, ZBIGNIEW ZIELIŃSKI — wyznaczają trzy czynniki. Przede wszystkim dotychczasowy potencjał społeczno-produkcyjny województwa a także tempo, jakie do tej pory osiągnęliśmy. Następnie naturalne warunki, jakie tu istnieją oraz potrzeby kraju. Nasz przemysł — biorąc pod uwagę również powiązania kooperacyjne — około 60 proc. produkcji przeznaczają na potrzeby rynku. Jest to czynnik, który w dużym stopniu przyczynia się do wzrostu wydajności pracy. Wystarczy tylko porównać dwie wielkości. Otóż w 1971 roku wzrost wydajności pracy na jednego pracującego wynosił 4,2 procent, a w ubiegłym roku — około 12 procent.

— Jest to skutek realnego dostrzegania związku między interesem społecznym a interesem własnym.

— Dzisiaj żaden działacz polityczny czy gospodarczy, myśląc o rozwoju regionu, nie może zamykać się tylko w jego granicach. Musi on widzieć związki ponadregionalne, współzależności w skali kraju, a również powiązania międzynarodowe. I musi umieć ten punkt widzenia przekazać społeczeństwu, kształtować w spo-

łecznej świadomości umiejętność widzenia interesów jednostki przez pryzmat interesów ogółu.

— Nie jest to sprawa łatwa.

— Ale nam w pracy sprzyjają realia. Przede wszystkim bezpośredni skutek produkowania na potrzeby rynku. Ludzie przecież widzą, że jeśli fabryka daje więcej na rynek, to i więcej towarów jest na tym rynku do kupienia, a i podnosząc wydajność, więcej człowiek zarabia.

Te zależności są oczywiste i łatwo dostrzegalne. Ale działacze polityczni i gospodarze naszego województwa powinni również w kształtowaniu społecznej świadomości pełniej wykorzystywać gospodarczą funkcję Ziemi Łódzkiej, wynikającą z jej naturalnego położenia. Centralne usytuowanie regionu, między aglomeracjami warszawską, śląską i wokół łódzkiej, krzyżowanie się tutaj tras przelotowych o znaczeniu krajowym a także międzynarodowym, sprzyja zarówno powiązaniom kooperacyjnym, jak sprawiła też, że nasza gospodarka staje się coraz bardziej służebną w stosunku do tych aglomeracji, jak i w stosunku do całego kraju.

Aby to sobie uzmysłowić, wystarczy spojrzeć na niektóre tylko fakty. W województwie powstaje na przykład 18 procent krajowej produkcji tkanin bawełnianych, jedna czwarta produk-

cji tkanin wełnianych, 20 procent produkcji włókien syntetycznych, 40 procent wytwarzanych w kraju żarówek, 12 procent leków, około 70 procent wytwarzanych w Polsce barwników, więcej niż jedna czwarta produkcji szkła okennego.

— I jeśli się jeszcze porówna, że ten udział w produkcji krajowej powstaje na 5,5 procentach powierzchni kraju, którą zamieszkuje 5,1 procent ludności Polski, to można sobie łatwo wyobrazić wyobrażenie o potencjale produkcyjnym województwa łódzkiego.

— Ziemia Łódzka daje około 4 procent globalnej produkcji przemysłowej kraju i 6,6 procent produkcji rolnej. To tylko dla uzupełnienia tych porównań. Najbardziej istotne jest to, że jest to region z ugruntowanymi tradycjami wytwórczymi. Świadomość tego pozwala na formułowanie śmiałych i ambitnych koncepcji dalszego rozwoju województwa. Dążeniem wojewódzkiej instancji partyjnej jest ukształtowanie nowoczesnej koncepcji rozwoju Ziemi Łódzkiej. Ale tę koncepcję będą realizowali ludzie, którym trzeba pokazać perspektywiczne cele, ich własne i kraju korzyści. Nauczyć ich nowoczesnego sposobu myślenia.

— A to wymaga trudu przelamywania przyzwyczajeń i nawyków już

ukształtowanych latami praktyki.

— Wymaga umiejętności widzenia korzyści wynikających z istniejących powiązań międzyregionalnych, zależności, które trzeba wykorzystywać i pomnażać. Trzeba uczyć się widzieć w sytuacji gospodarce Ziemi Łódzkiej te dziedziny, których rozwój przyniesie ogólne korzyści.

— Jakże więc są podstawowe założenia tej koncepcji?

— W nadchodzącej pięciolatce będziemy dążyli do tego, aby generalnie zmodernizować przemysł lekki. Zakładamy, że w latach 1976—1980 produkcja przemysłu lekkiego, jakim tu dysponujemy, wzrośnie o około 50 procent. Ale w tym czasie nie wzrośnie zatrudnienie w tym przemyśle. Będziemy dążyli do tego, aby w zakładach przemysłu lekkiego wymienić technikę. I to już nie tylko tę, którą w tym przemyśle instalowano przed wieloma laty, ale również i tę, którą instalowaliśmy nie tak dawno, a która jest już przestarzała w stosunku do postępu na świecie.

Chcemy w województwie bardzo szybko rozwijać przemysł spożywczy. Ten przemysł jest w tej chwili słabo rozwinięty. A weźmy choćby tylko ziemniaki. Przede wszystkim znaczną ich część wywozimy poza teren wo-

Dalszy ciąg na str. 3

# JEST TAKI KRAJ...

„Lecz jeszcze jest jeden kraj taki na świecie:

Jak grzyby po deszczu rodzą się poeci”.

„pisał Pimien Panczanka w utworze „Kraina poetów”, gdzie w żartobliwych słowach próbował zamknąć dramatyczne dzieje białoruskiej kultury. Kultury szczególnie nam bliskiej poprzez podobieństwo historycznych splątń i poprzez związki bezpośrednie, które sprawiły, że najważniejsze dla białoruskiej etnografii dzieło wyszło spod pióra Polaka, Michała Fedorowskiego, a wielu białoruskich poetów uprawiało twórczość dwujęzyczną terminując także w polszczyźnie. Była to

zreszta fascynacja obustronna czego przykładem choćby twórczość Syrenkomi, który ma w swym dorobku oryginalne wiersze białoruskie.

A przecież, mimo że powinowactwa, znajomość białoruskiej literatury była u nas przez długie lata niedostateczna. Dość wspomnieć, że w pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej ukazywały się u nas zaledwie dwie książki białoruskiej poezji: wybór wierszy Janki Kupaly — klasyka, od którego zaczyna się wia-

żniwie rozwój nowożytnej literatury naszych sąsiadów oraz garść utworów Maksima Tanki, twórcy współczesnego, który stanowił pierwszoplanowe dziś zjawisko poetyckie na Białorusi. Dopiero pionierska antologia Jana Huszczy pt. „Wiersze białoruskie” przyniosła reprezentatywną próbkę dokonania tej prawie u nas nieznanej poezji otwierając dla wzajemnych kontaktów obu literatur (w Mińsku zrewanżowano się natchnionym obszernym tomem łódzkiej autorów zatytułowanym „Miasto milionowe i my”) okres pogłębił zainteresowania, które dokumentuje się nowymi dokonaniem. Tą przełomową niemal datą jest rok 1971, kiedy to w Wydawnictwie Łódzkim ukazała się wspomniana antologia Jana Huszczy, a w ślad za nią inne książki białoruskich autorów: obszerny wybór wierszy Maksima Bahdanowicza, tom opowiadań Janki Bryła aż po wydany ostatnio zbiór utworów poetyckich Maksima Tanki i powieść Aleksandra Adamowicza.

W styczniu przebywała u nas delegacja pisarzy z Mińska na czele z dobrze znanym Maksimem Tankiem. Nie był to, jak przed laty, tylko rekonesans, ale wizyta robocza, o czym świadczy skład delegacji; obok poetów goszczących byli krytycy, redaktorzy i wydawcy. Miłkoł Tkaaczou, dyrektor wydawnictwa literackiego w Mińsku na specjalnym spotkaniu w Związku Literatów Polskich poinformował nas przy okazji o planach edytorskich w zakresie literatury polskiej, którą wydaje się tam coraz częściej. Nasi goście prof. dr Aleksander Adamowicz, Henacz Buraukin (jest on poeta a zarazem redaktorem naczelnym miesięcznika „Młodzież”), Henacz Klauko, Iwan Czygrynau (zastępca naczelnego redaktora miesięcznika „Płomień”) wystąpili na spotkaniu autorskim w Bibliotece im. Ludwika Waryńskiego mając okazję bezpośredniego kontaktu z polskimi słuchaczami, zwiędzili także nasze miasto oraz Ziemię Łódzką interesując się nie tylko dokonaniem kulturalnymi, ale także realiami codziennego życia w Polsce, a tego rodzaju doświadczenia pozostawiała zawsze jakiś ślad także w twórczości; że bogaty pakiet utworów z polskimi motywami ulegnie na Białorusi dalszemu rozszerzeniu cementując nasze związki z kulturą przyjaciół. Delegację mińskich pisarzy, o czym doniosła już prasa codzienna, podejmował także sekretarz KL PZPR Zbigniew Falński zapoznając ich z programem rozwoju i modernizacji Łodzi, rozwojem naszych ośrodków kulturalnych i działalnością środowisk twórczych. W Urzędzie Miasta prezydent Jerzy Lorens udekorował Maksima Tanki Honorową Odznaką m. Łodzi.

# DZIENNIK ŁÓDZKI

„Dziennik Łódzki” — czyż można sobie wyobrazić prosząc nazwę dla codziennej gazety? I właśnie od tego prostego — banalnego nawet — tytułu rozpoczyna się dzieje łódzkiego dziennikarstwa. „Dziennik Łódzki” jest nazwą, która dla historii kultury tego miasta znaczy bardzo wiele. Pisze — nazwa, bowiem wiele było w dziewięćdziesięcioletniej historii prasy łódzkiej gazet pieczętujących się tytułem „Dziennik Łódzki”.

Był zatem ten pierwszy „Dziennik” założony jeszcze w roku 1884 przez Henryka Elzenberga, który w roku 1879 przyjeżdża do Łodzi i po paru latach usilnych zabiegów tworzy codzienną gazetę polską. Ten pierwszy „Dziennik” jest bodaj najsynniejszy zarówno dlatego, że właśnie pierwszy, że o nim wypisującą monografię napisał Zygmunt Gostkowski — ale także dlatego, że wytrwał najdłużej. A nie było to łatwe w tamtych trudnych latach zaborów.

Zaden z późniejszych „Dzienników Łódzkich” nie poblił osmiolatego rekordu. A przecież ukazywały się gazety z tym tytułem i w roku 1911 i w 1919, a potem w początkach lat trzydziestych. Dziejom Łodzi tytuł ten towarzyszył stale, notując historię i wydarzenia rozgrywane się w murach miasta.

Nowa era nastąpiła w początkach roku 1945. „Szum wodogrzmotów „Manchester Guardian” („Dziennik Łódzki”) (...) gmach „Czytelnika” począł rozbrzmiewać charakterystycznym gwarem — wspomina Jerzy Zaruba. Łódź zwano polskim Manchesterem, więc i „Dziennik” określono mianem podobnym.

Tak więc na dawnym gmachu Siemens przy Piotrkowskiej 96 zatknął w początkach roku 1945 swój sztandar Jerzy Borejsza. I tu kapitan Anatol Mikulko rozpoczął wydawanie gazety, która nazywano — oczywiście — „Dziennikiem Łódzkim”.

Rekord „Dziennika” Elzenberga został wielokrotnie pobity w Polsce Ludowej. Nawet jeśli odjąć ów krótki o-

kres nieobecności gazety, kiedy połączono ją z ówczesnym „Expressem” i tak jest to najstarsza gazeta powojennej Łodzi. Zresztą „Dziennik” był obecny nawet wówczas, gdy go nie było. Zarówno charakter gazety, jej kształt graficzny, ba, nawet winieta — nawiązywały do „czytelnikowskiej” tradycji prasy dla wszystkich.

Był więc „Dziennik” de facto obecny w Łodzi przez wszystkie lata naszego dziesięciolecia. Towarzyszył i towarzyszy czytelnikom, dla wielu był pierwszą gazetą, wydawał swoje dodatki akademickie, drukował wiele mutacji terenowych... Bawiem będąc z nazwy „Dziennikiem Łódzkim” zwracał się przecież zawsze do szerokiego grona czytelników, także tych mieszkających i pracujących na Ziemi Łódzkiej.

Zmieniała się Łódź, zmieniali się dziennikarze i redaktorzy naczelni, a „Dziennik” służył i służy nadal sprawom tego miasta. W dniach jubileuszu trzydziestolecia gazety trzeba przypomnieć nazwiska kierujących tą gazetą dziennikarzy — choćby tylko tych, którzy nie zatarli się w pamięci współczesnych. A więc Anatol Mikulko, Wojciech Knittel, Stanisław Mojkowski, Stanisław Podolski, Andrzej Stajana — i wreszcie aktualny — Henryk Walenda.

To w „Dzienniku” pracował do ostatnich chwil swego życia, nestor łódzkiego dziennikarstwa, pierwszy redaktor młodego Tuwima — Stanisław Chruszczyński.

To „Dziennik Łódzki” był inicjatorem wielu społecznych akcji i od trzydziestu lat wierny jest dewizie, że „nie co łódzkie, nie jest mu obce”.

Z okazji tego pięknego jubileuszu kolegom z „Dziennika Łódzkiego” oraz współpracownikom życzę dalszych osiągnięć i stułetniej co najmniej obecności w czasopiśmienniczej mapie kraju.

Zespół „ODGŁOSÓW”



Fot. Włodzimierz Parys

K.F.

## KRYSTYNA BILSKA

(1904—1975)



krzywdząca sytuacja musi budzić sprzeciw zwłaszcza wtedy, gdy unaczynia nam ją śmierć jednego z tych skromnych ludzi, którzy całe swoje życie poświęcili zasypaniu przepaści i wnoszeniu mostów pomiędzy ludźmi, którzy nieustraszenie pracowali dla przyjaźni i braterstwa. „Dobrze, że natchnieniem, a nawet kongenialnie — powiedziała Maria Dąbrowska — można tłumaczyć tylko dzieło, którym jesteśmy silnie zainteresowani, które się zna i kocha lub które poznawszy przy braniu roboty na warsztat — szczerze się pokochało”.

Tłumacze żyją w cieniu wielkich nazwisk, które stały się znane dzięki ich anonimowemu często wysiłkowi. I chociaż o sztuce przekładu napisano już całe tomy, chociaż wszyscy rozumieją jej znaczenie w sprawie zbliżania kultur i narodów, translatorzy blakają się wciąż na peryferiach literatury jako jej półprawy tylko dzieci. Ta

Słowa te w pełni można odnieść do pracy translatorskiej Krystyny Bilskiej, zasłużonej tłumaczki literatury angielskiej i rosyjskiej, która spolszczyła

między innymi głośną trylogię Maksyma Gorkiego „Dzieciństwo”, „Wśród ludzi” oraz „Moje uniwersytety”. Tłumaczenia Gorkiego to była wielka przygoda twórcza Krystyny Bilskiej, urodzonej 11 lutego 1904 roku w Zgierzu, absolwentki uniwersytetów Jagiellońskiego i Warszawskiego, długoletniej nauczycielki gimnazjalnej, która tablicę i kredę zamieniła na papier i pióro, aby odtąd poświęcić się wyłącznie pracy literackiej. Pierwsze próby w tym nowym zawodzie podjęła jeszcze w czasie okupacji, próby ambitne, bo najtrudniejsze szlifując swój warsztat translatorski na język rozpraw filozoficznych, aby znaleźć wreszcie swe ukołchanie najprawdziwsze: przekłady z literatury pięknej. Jednym z jej umiłowañ był wspomniany już Gorki, zwłaszcza jego „Matka”.

Tłumaczenie tej powieści dokonane przez Krystynę Bilską zwróciło od razu uwagę krytyki swą świeżością i urodą, nie też dziwnego, że doczekało się wielu wznowień i zapewne długo jeszcze będzie najlepszym jej spolszczeniem. Przełożyła także

Bilka pogłębiając swe penetracje na obszarze języka rosyjskiego powieści Konstantego Fiedina „Sanatorium Arktur”. Niezależnie od przekładów książek dokonała tłumaczeń wielu dialogów filmowych, które posłużyły jako tworzywo w dubingu, jak zawsze znakomicie oddając sens i nastrój oryginału.

Mimo choroby, która wyłączyła ją z czynnego uczestnictwa w działalności oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich, którego członkiem była od pierwszych dni po wyzwoleniu, Bilka do ostatka prowadziła swą pracę pisarską, przerwaną dopiero przez śmierć. 11 stycznia br. Straciłmy kogoś, kto, rezygnując z zaszczytów i uznania, poświęcił się niewdzięcznej, bezimiennnej pracy translatorskiej przekładając ponad własny sukces ideę porozumienia i zbliżenia ludzi różnych języków i kultur. I jeśli w podzielonym świecie mniej jest dziś wrogociści zawziędzeni do takim ludziom, jak Krystyna Bilka. Dlatego wiesznie zachowamy ją w pamięci.

# KONKORDATY

Zjawisko symptomatyczne i godne odnotowania: na naszym rynku wydawniczym coraz więcej jest naukowych publikacji, dotyczących ważnych problemów społecznych i politycznych współczesności, stawiających sobie już nie tylko doraźne cele agitacyjno-propagandowe, ale ambitne cele poznawcze. Zakres pojęcia literatury społeczno-politycznej ulega więc znaczącemu rozszerzeniu, coraz więcej poczynają ważne tu dzieła poważne, prezentujące czytelnikowi ogólne poglądy i oceny w oparciu o rozbudowaną naukową informację i interpretację obfitego materiału. Tak jest też i w przypadku książki, którą mam przed sobą, pracy Tadeusza Włodarczyka o tytule: „Konkordaty. Zarys historii ze szczególnym uwzględnieniem XX wieku”, opublikowanej niedawno staraniem Redakcji Nauk Politycznych Państwowego Wydawnictwa Naukowego (Warszawa 1974). Wymieniam tu nie tylko Wydawnictwo, ale Redakcję, w której zrodziła się ta praca nie bez powodu. Chodzi bowiem o to, że po-trafiłszy dopracować się nowoczesnej formuły naukowej książki z zakresu szeroko pojmowanych nauk politycznych, nie jest to bez znaczenia wobec sytuacji, że przed laty książek takich nie posiadaliśmy, a jedynymi publikacjami z tej dziedziny, które rozważały problematykę w kategoriach naukowych, były książki, publikowane za granicą, niejednokrotnie o jednoznacznej wymowie ideowej i politycznej, którym mogliśmy przeciwstawić jedynie mniej lub bardziej udane broszurki i im podobne utwory agitacyjne. Jest przecież oczywiste, że zrozumienie aktualnych zagadnień współczesności, bo one przede wszystkim wchodzi w zakres problematyki politycznej, jest niemożliwe bez naukowego ich rozpoznania, bez naukowego poglądu na świat i rozpo-

znania własnego w nim miejsca nie da się zbudować w oparciu o największą nawet porcję sloganów i hasel. Ale koniec o tym.

Doprawdy, choć jestem historykiem, nie zdawałem sobie dotąd sprawy z tego, jak wiele zagadnień kryje się pod zacięską brzmiałym słowem „konkordat”. Już samo określenie tego pojęcia nasuwa prawnikom wiele wątpliwości, jak o tym świadczy dyskusja między specjalistami, jest bowiem konkordat taką umową międzynarodową, w której jedna ze stron nie jest „państwem”, w tym samym sensie, jak druga, niezależnie od tego, że Watykan jest formalnie rzecz biorąc również i państwem. Tylko że konkordat nie jest umową, zawieraną z Watykanem jako państwem, ale z papieżem jako zwierzchnią władzą Kościoła katolickiego, również posiadającą osobowość prawną. A propos państwa watykańskiego: jest to jedyne państwo na świecie, które jest zabytkiem i to w dosłownym znaczeniu tego słowa: zostało ono wcielone — pisze T. Włodarczyk — „na liście zespółów zabytkowych w prowadzonym przez UNESCO rejestrze dóbr kulturalnych podlegających specjalnej ochronie, na mocy art. 9 konwencji o ochronie dóbr kulturowych w przypadku konfliktu zbrojnego, podpisanej w Hadze 14 maja 1954 r. Rejestracja Watykanu została dokonana 18 stycznia 1960 r.”. Wspomniana konwencja haska została ogłoszona u nas w Dzienniku Ustaw PRL w 1957 r.

Konkordat jest instytucją nadzwyczajną, istniejącą od czasów, kiedy Kościół począł odgrywać wobec państwa „rolę samostojną, niezależną potęgę”, za pierwszy akt tego rodzaju uważa się zwykły tzw. konkordat wormacki z 1122 r. stanowiący zakończenie pierwszego etapu walki o inwestyturę, chociaż i co do tego nie ma wśród uczonych pełnej jednomyśl-

ności, skoro wskazuje się na bullę Urbana II z 1098 r. jako na pierwszy dokument tego rodzaju. Chociaż jest instytucją o dawnej metryce, wydaje się, że zaczyna on tracić na znaczeniu. Dzieje XX wieku zdają się sugerować badaczowi pogląd, iż „konkordat jako układ prawnomiędzynarodowy zawierany przez papieża z jednej strony, a rząd określonego państwa z drugiej strony, określający zasady w sposób stały, konkretne rozwiązania problemów interesujących obie strony, powoli — jak wykazuje praktyka państw, w których konkordaty istnieją i obowiązują — nie gwarantuje już celów, dla których był zawierany w okresie, kiedy monarcha lub rząd, w myśl starej, ale nie przebrzmiałej jeszcze całkowicie zasady „cuius regio, eius religio” — decydowali o postawie społeczeństwa”. Dochodzi bowiem nieraz do tak paradoksalnych, zadowalających się sytuacji, jakie występują w Hiszpanii, częściowo we Włoszech, a do niedawna w Portugalii, że gdy rząd opowiada się za utrzymaniem konkordatu, rzecznikami jego obalenia, a w każdym razie zmiany, są katolicy. „W okresie potęgającej się demokracji Kościół — pisze T. Włodarczyk — nie chce stracić realnych wpływów na społeczeństwo, nie chce się wiązać z rządami, akceptując nawet zasadę rozdziału Kościoła od państwa, którą jeszcze za Piusa XII uważał za nie do przyjęcia, a zwraca swe wysiłki w kierunku faktycznego pozyskania sobie społeczeństwa”. I dlatego zapewne coraz częściej odstępuje od formy konkordatowej, uciekając się do innych bardziej elastycznych form porozumienia. Nie pozostaje to bez związku również z przemianami, jakie w czasach najnowszych zachodzą w samym Kościele, o których wiadomo coraz więcej. Przekładem szczerze jasnym, a jednocześnie wymow-

nym jest tu również stosunek Kościoła do państw socjalistycznych. Zgadza się z T. Włodarczykiem, gdy pisze on, że „zagadnieniu temu powinno poświęcić się znacznie więcej uwagi niż czyni to dotychczasowa literatura naukowo-polityczna”. W każdym razie „faza konfrontacji”, trwająca w polityce Kościoła od 1917 do 1958 r. należała niewątpliwie do przeszłości i sytuacja uległa zmianie. Jej ogólny kierunek określił kompetentny kierownik polityki watykańskiej A. Casaroli w 1972 r. w przemówieniu, wygłoszonym w Instytucie Studiów Polityki Międzynarodowej w Mediolanie: „Od około dziesięciu lat podjęto usiłowania w celu nawiązania dialogu: nie wszędzie w tych samych formach i z tą samą ciągłością; nie zawsze uwieczniona rezultatem; wszędzie trudne. Obecnie jednak zdecydowanie i — jeżeli tak można powiedzieć — jest to już ruch trudno odwracalny”.

T. Włodarczyk nadał swej monografii charakter rozprawy prawnohistorycznej, przy czym historii znalazło się w tej książce bardzo wiele. Trudno się temu dziwić. Wyszłedł on z założenia, że dopiero na tle konkordatów i układów zawieranych w minionych okresach historycznych można zrozumieć — z jednej strony — niejednokrotnie zaskakujące konserwatywne, jak przejawia się w tej dziedzinie, a z drugiej — dlaczego instytucja ta, zdaniam większości obserwatorów życia i działalności Kościoła rzymskokatolickiego, jest obecnie nie do utrzymania”.

Tyle o tej książce. I jeszcze jedno: swą ładną szatę graficzną zawdzięcza ona również Łódzkiej Drukarni Dzielowej, co także zasługuję na podkreślenie.

LEKTOR

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.



ZBIGNIEW ZIELIŃSKI

# SPRZĘŻENIA ZWROTNE WSPÓŁCZESNOŚCI

Dalszy ciąg ze str. 1

województwa dla przemysłowego ich przetwarzania. Poza tym dostarczamy ziemniaki dla zaopatrzenia ludności Łodzi, Śląska i innych ośrodków miejskich kraju. Każda gospodyni obiera dziś ziemniaki sama. A przecież przemysł może dostarczyć jej ziemniaki już obrane, tak może — i powinien — dostarczyć jej ziemniaki przygotowane do spożycia w formie przetworzonej.

Podobnie przemysł mleczarski. Ten przemysł jest już dość rozwinięty. Ale województwo łódzkie ma w kraju najwyższą pozycję, jeśli chodzi o wielkość skupu mleka z jednego hektara. Można więc powiedzieć, że rolnictwo województwa specjalizuje się w zaopatrywaniu przemysłu spożywczego w mleko. Rzecz jednak w tym, aby to mleko dostarczać na rynek nie tylko w postaci naturalnej, ale w postaci różnorodnych przetworów mlecznych.

Zakładamy w planach rozwoju przemysłu spożywczego na najbliższe lata rozbudowę przemysłu mięsnego i drobiarskiego. W Rawie Mazowieckiej powstaje wielki kombinat mięsny. Drugi taki kombinat będzie budowany w Sieradzu. Trzeba będzie zmodernizować istniejące przetwornice mięsa, między innymi w Pabianicach. Zmodernizuje się i rozbuduje przetwornice drobiu w Kutnie i Tomaszowie Mazowieckim. Musimy wybudować wielkie fermy kurze, a także „fabryki jaj”. Nie tak dawno brakowało na przykład jaj w Łodzi. Jest to rzecz nie do pomyslenia, aby zdarzały się takie przypadki. I te zaniedbania trzeba będzie w szybkim czasie nadrobić.

Na województwie łódzkim spoczywa przecież obowiązek wyżywienia przede wszystkim mieszkańców łódzkiej aglomeracji, następnie śląskiej i ośrodków miejskich Ziemi Łódzkiej. — A jakie są perspektywy rozwoju innych przemysłów? Łódzkie to przecież też przemysł meblarski, chemiczny, elektroniczny, maszynowy. — Poświęćmy tu uwagę sprawom przemysłu spożywczego, gdyż jego dalszy rozwój jest elementem składowym polityki żywieniowej partii.

— A jednocześnie jest to szansa dla dalszego dynamicznego rozwoju Ziemi Łódzkiej.

— Postęp, jaki dokonuje się w rolnictwie, tworzy bazę dla przemysłu rolno-spożywczego. Jeśli chcemy w nowoczesny sposób traktować politykę żywnościową, to trzeba pamiętać, że na rynek należy dostarczać nie tylko białko pochodzące z mięsa. A więc trzeba rozwijać te dziedziny przetwarzania, które dają artykuły spożywcze, zawierające inne rodzaje białka.

Dziś już nikt rolnictwa i przemysłu spożywczego nie traktuje jako dziedziny mniej ważnej. Na XV Plenum KC partii podniesiono je do rangi jednej z najważniejszych gałęzi gospodarki narodowej. I to rzeczywiście daje województwu łódzkiemu szansę intensywnego rozwoju całej gospodarki.

Nie zapominamy jednak o innych dziedzinach wytwarzania. W Kutnie na przykład powstaje nowoczesny ośrodek przemysłu maszyn rolniczych. Buduje się tam odlewnie dla potrzeb tego przemysłu i będzie się budować nowoczesną wersję starej kutnowskiej fabryki „Krali”, która będzie produkowała siewniki nie tylko na potrzeby kraju, ale również dla członków RWPG.

— Województwo łódzkie ma spory udział w produkcji na potrzeby RWPG. Mam na myśli choćby tylko rozbudowywaną fabrykę w Praszce. — Będzie się ona dalej rozbudo-

wała. Ale obok przemysłu motoryzacyjnego rozbudowywać się będzie przemysł maszynowy. W Kolszkach buduje się odlewnie, która będzie służyła potrzebom przemysłu budowy obrabiarek. Zachodzi konieczność istotnej modernizacji przemysłu chemicznego: „Wistomu” w Tomaszowie Mazowieckim i „Boruty” w Zgierzu. Projektujemy modernizację przemysłu meblarskiego: fabryk w Łasku, Piotrkowie Trybunalskim i Radomsku. A także wybudujemy nowoczesną fabrykę płyt w Wieruszowie. Będzie ona pracowała na potrzeby przemysłu meblarskiego. Modernizacja tego przemysłu jest pilną potrzebą, wynikająca z postępu w budownictwie. Buduje się teraz i szybciej i coraz więcej mieszkań. Popyt na meble jest ciągle nie zaspokojony.

— Z przedstawionej tu koncepcji rozwoju Ziemi Łódzkiej wynika jeden wniosek. Jest to kierunek na jakościowy rozwój, a nie na rozwój ilościowy. Jest to zatem konsekwentna, dalsza intensyfikacja gospodarki.

— Jest to kierunek na unowocześnienie techniki. Dokonujemy w instancjach partyjnej analizy poszczególnych dziedzin gospodarki. Posiadamy jeszcze w gospodarce województwa pewne rezerwy. Można i będzie się do tego dążyć, aby dalej podnosić wydajność pracy. Na przykład w 1971 roku przyrost produkcji osiągnięto w przemyśle wydajności pracy w 51,3 procenta, a w 1974 roku — w 77 procentach. Można i trzeba zwiększyć jeszcze udział wydajności pracy w przyroście produkcji poprzez poprawę jej organizacji. Ale, aby nadal rósł udział wydajności pracy w przyroście produkcji trzeba unowocześniać technikę i technologię. I to jest podstawa koncepcji dalszego rozwoju województwa.

— W zarysowanej tu koncepcji widać wyraźny skok jakościowy, jaki czeka przemysł Ziemi Łódzkiej. Dokona się on już w najbliższym pięcioletciu, choć programy sięgają roku 1990. W następnych dwu pięcioletniach będzie on więc nomnżany, gdyż proces modernizacji gospodarki będzie nadal postępował. Jak wobec tego rysuje się perspektywa unowocześnienia rolnictwa w województwie? Wiemy przecież, że odstaje ono znacznie od tego, co dokonuje się w przemyśle, co nie znaczy, że i tu nie zachodzi postęp, że nie rośnie produkcja rolna.

— To, co już osiągnięto w rolnictwie Ziemi Łódzkiej i zadania, jakie postawiono przed rolnictwem na 1975 rok, pozwalają nam stwierdzić, że na koniec bieżącej pięcioletki globalny wzrost produkcji rolnej wyniesie 53 procent w porównaniu do wyników z 1970 roku, choć zakładano wzrost tylko o 34 procent. Skup żywności wzrośnie na przykład o 73 procent, mleka — o 83 procent, ziemniaków o 35 procent, a zboża — aż o 113 procent.

Rolnictwo traktujemy jako główną gałąź produkcji województwa łódzkiego. Wynika to nie tylko z tego, że jest ono podstawą polityki wyżywienia narodu, że tworzy bazę surowcową dla przemysłu spożywczego, ale też z tego, że 40 procent ludności województwa utrzymuje się jeszcze z rolnictwa.

— Zatem rozwój rolnictwa ma znaczenie nie tylko dla gospodarki narodowej, ale również dla tej grupy ludności, gdyż warunkuje wzrost ich poziomu życia.

— Podstawą całej konstrukcji programu dalszego rozwoju województwa łódzkiego jest troska o wzrost poziomu życia ludności. Praktyka ostatnich czterech lat pokazała, że rozwijając rynek, dając ludziom możliwość zaspokojenia ich rosnących potrzeb, tworzymy warunki dla wyzwania

lan'a inicjatywy, dla dalszego wzrostu wydajności pracy. Ta zasada nie może być obca ludziom żyjącym z rolnictwa. A więc i nasz program rozwoju rolnictwa musi zakładać postęp techniczny, wyższe formy gospodarowania, które umożliwiłyby stosowanie tego postępu, a także szybkie podniesienie poziomu usług dla rolnictwa.

— Rolnictwo województwa łódzkiego jest znacznie rozdrobnione. Czy ten fakt nie będzie utrudniał realizacji tego programu?

— Zdajemy sobie w instancjach partyjnej z tego sprawę i dlatego uważamy, że podstawowym warunkiem realizacji programu rozwoju rolnictwa będzie zdecydowana poprawa gospodarowania ziemią.

Może najpierw kilka liczb, aby określić rozmiary tego zjawiska i skalę trudności. Na rolnictwo województwa łódzkiego składa się ćwierć miliona indywidualnych gospodarstw rolnych. Średnia wielkość gospodarstwa rolnego wynosi 4,8 hektara. Według szacunkowych danych około 12,6 procenta ogółu gospodarstw rolnych osiąga bardzo niską produkcję.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Ostatnie badania wykazały, że około 24 procent właścicieli gospodarstw, a więc blisko jedna czwarta wszystkich rolników, gospodarujących na blisko jednej czwartej ziemi, ukończyło już 60 rok życia. Znaczna część z nich nie posiada następców.

— Jest to ogromna skala trudności,

form zespołowego gospodarowania przy utrzymaniu obecnych form własności.

Zespołowość w rolnictwie daje bowiem możliwość szerszego stosowania techniki, a bez wprowadzania nowoczesnej techniki do rolnictwa nie osiągniemy na szerszą skalę wyższych wyników. Zespołowość pozwala też na specjalizację w rolnictwie, na jej pogłębienie i doskonalenie.

— Centralne położenie województwa i jego sąsiedztwo z wielkimi aglomeracjami miejskimi stwarza dogodne warunki dla rozwoju ogrodnictwa.

— Projektujemy rozwój ogrodnictwa przede wszystkim w sąsiedztwie łódzkiej aglomeracji. Uważamy bowiem w województwie, że nasz podstawowy obowiązek sprowadza się do zapewnienia wyżywienia aglomeracji łódzkiej. Między Łodzią i województwem istnieją ściśle powiązania gospodarcze i społeczne i naszym zadaniem — zarówno w Łodzi, jak i w województwie — jest te powiązania utrzymywać i rozwijać.

Centralne położenie województwa łódzkiego pozwala też na związki gospodarcze z innymi regionami kraju. Rolnictwo Ziemi Łódzkiej powinno stać się bazą surowcową nie tylko dla tutejszego przemysłu spożywczego, ale i innych regionów.

— A przemysłowe powiązania kooperacyjne?

— Również i tu sprzyja centralne położenie województwa. Zychliński

wa kopalni i elektrowni w Belchatowie. Będzie to jedna z największych inwestycji w kraju do roku 1990.

— Kiedy Belchatów da pierwszą węgiel i pierwszą elektryczność?

— Już w 1980 roku. Pełna zdolność kopalni wyniesie 40 milionów ton węgla brunatnego w roku. Dwie elektrownie dadzą natomiast przeszło 5 tys. megawatów. Ale to już po 1990 roku.

— Poza ogromną korzyścią, jaką budowa Zespołu Górniczo-Energetycznego w Belchatowie przyniesie województwu, spowoduje to też wielkie kłopoty i trudności. Przede wszystkim z ludźmi, których trzeba będzie zapewnić dla budowy kopalni, elektrowni, mieszkań, zakładów remontowych. Skąd ich wziąć?

— Myślę, że przede wszystkim trzeba uświadomić sobie, że energia z Belchatowa będzie najtańszą w kraju. Decyduje o tym i technika, którą tutaj się wykorzystuje i położenie centralne złóż. Koszt wytwarzania i przesyłania energii z tego właśnie powodu nie będzie wysoki.

Świadomość tego faktu, świadomość znaczenia tej inwestycji dla gospodarki kraju i jej znaczenie dla rozwoju województwa powinna zadeptywać o sposobach rozwiązania trudności, jakie niewątpliwie powstaną w trakcie budowy „Belchatowa”.

Już w tym roku trzeba w Belchatowie wybudować 600 mieszkań. Ludność miasta zwiększy się nagłe o prawie 2 tysiące mieszkańców.

która pokazuje jak wielkie zadania stoją przed instancjami partyjnymi, przed administracją w realizacji programu unowocześnienia rolnictwa. Jest to skala tym większa, gdyż sądzę, że do procesu odpływu ludzi z rolnictwa nie da się zahamować. Moim zdaniem jest to proces naturalny. Trzeba zatem szukać innych sposobów wprowadzania postępu w rolnictwie.

— Sądzę, że nie należy przeceniać i mitologizować procesu odpływu ludzi z rolnictwa. Mam na poparcie tego dwie wielkości. Otóż w gospodarstwach indywidualnych na 100 hektarach pracuje 36 osób. W PGR natomiast na 100 hektarach pracuje 11, 12 osób. Porównanie tych dwu wielkości pokazuje, jakie jeszcze rezerwy tkwią w rolnictwie. Trzeba zatem znaleźć sposoby ich wykorzystywania.

Poza tym trzeba pamiętać, że w przyszłości będziemy musieli coraz więcej ludzi, utrzymujących się ze źródeł pozarolniczych, wyżywić przez czerpać mniej ludzi pracujących w rolnictwie. Jeśli w tej chwili jeden rolnik żywi od 4 do 6 osób spoza rolnictwa, to w przyszłości będzie musiał wyżywić od 16 do 18 osób.

— Jak to osiągnąć?

— W naszej koncepcji rozwoju rolnictwa wychodzimy z podstawowego założenia, że każdy kawałek ziemi musi być efektywnie zagospodarowany, musi być wykorzystany. Jest to racjonalny spłót interesów rolnika i społeczeństwa. Ale też będzie to rodzić pewne sprzeczności. Jeśli ktoś źle gospodaruje, nie umie wykorzystać ziemi, to musi niechybnie znaleźć się w sprzeczności ze społeczeństwem, prowadzi to do konfliktu.

— Program unowocześnienia rolnictwa bierze więc te sprzeczności pod uwagę.

— Podstawą tego programu jest odpowiedź na pytanie, jak zagospodarować racjonalnie całą ziemię.

— Jaka jest zatem odpowiedź? Jakie są kierunki działania?

— Przede wszystkim usługi dla rolnictwa. Szeroko pojęte.

— Stwarza to możliwości pracy dla tych wszystkich, którzy nie znajdują zajęcia na roli, a jednocześnie ułatwia pracę rolnikowi.

— Umożliwia rolnikowi korzystanie z techniki. Same usługi jednak nie wystarczą. Aby korzystać z techniki w rolnictwie trzeba lepiej łączyć różne formy własności. Muszę powiedzieć, że w województwie dobrze rozwijają się i utrwalają związki kooperacyjne gospodarstw indywidualnych ze spółdzielniami produkcyjnymi i PGR.

W interesie rolnictwa i w interesie społecznym będziemy też ułatwiać młodym, dobrze przygotowanym rolnikom, przejmowanie gospodarstw mało efektywnych, nie wykorzystywanych. I ponieramy i będziemy ponierali specjalizację w rolnictwie. Specjalizacja pozwala bowiem na wprowadzanie techniki, na wprowadzanie lepszej organizacji pracy. Pozwala też rolnikowi na korzystanie z szerszej skali usług. Ułatwia mu pracę.

— Jakże się w tej chwili osiągnięcia specjalistyczne w rolnictwie województwa?

— Specjalizacja objęła nie tylko poszczególne gospodarstwa, ale nawet całe wsie. Sa takie wsie między innymi w powiecie wieluńskim.

— A jakie są perspektywy zespołowego gospodarowania?

— W programie rozwoju rolnictwa zespołowa gospodarka zajmuje poważne miejsce. Będziemy stwarzali warunki nie tylko dla rozwoju spółdzielni produkcyjnych, PGR, ale też dla tworzenia zespołów hodowlanych, zblokowanej uprawy roli i innych

„Emit” na przykład pracuje na potrzeby niemal całego kraju. Piotrkowska „Pioma” buduje urządzenia dla górnictwa Śląska.

— I będzie budować dla Belchatowa.

— Również będzie i dla Lubelskiego Zagłębia Węglowego. W Radomsku budujemy konstrukcje stalowe na potrzeby kraju. Nie mówiąc już o meblach i szkła, a także o przemyśle dziewiarskim i włókienniczym. I nie wymieniając stale rosnącego eksportu.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że istotny sens naszego, wojewódzkiego programu rozwoju gospodarki zawiera się w tym, że tworzymy go przede wszystkim z myślą o poprawie warunków życia ludzi. Staramy się w tym programie tak wykorzystać wszystkie warunki i przesłanki, wszelkie powiązania i możliwości, aby były one z korzyścią dla nas i dla kraju. Intensyfikacja produkcji przemysłowej i rolnej, wzrost udziału Ziemi Łódzkiej w gospodarce krajowej stwarza możliwość lepszego zaspokojenia wielu potrzeb społeczeństwa Ziemi Łódzkiej. Pozwoli to nam zwiększyć budownictwo mieszkaniowe. Odrobiliśmy już niektóre zaległości w rozwoju służby zdrowia i przystępujemy do budowy dwóch wielkich szpitali w Pabianicach i Kutnie, zmodernizujemy także już istniejące. I dzięki temu praktycznie rozwiązujemy problemy bazy dla służby zdrowia.

Wspólnie z Łodzią będziemy budowali centrum rehabilitacji zawodowej

— Jakże to obowiązki nakłada na województwo?

— Naszym zadaniem jest stworzyć takie warunki dla realizacji tej inwestycji, aby mogła ona przebiegać planowo. Musimy tak jednak postępować, aby przebieg budowy „Belchatowa” nie osłabił innych działań gospodarki.

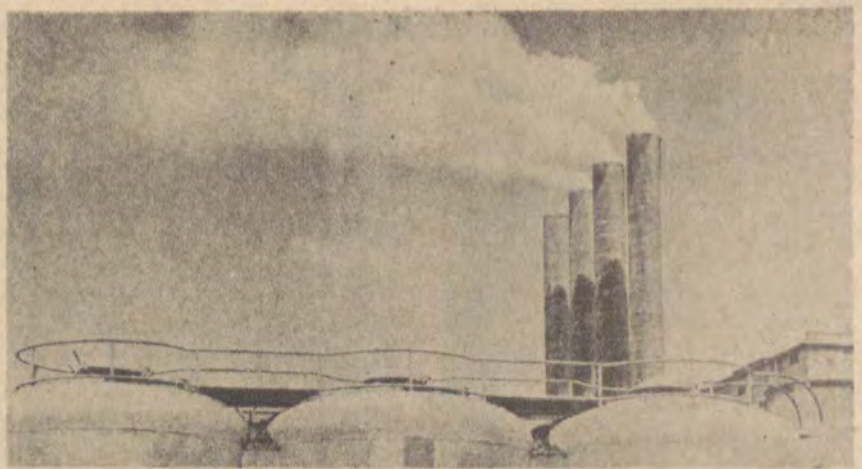
— Iu ludzi trzeba będzie już teraz przygotować dla Belchatowa?

— Pięć i pół tysiąca. I to w znacznej części specjalistów: inżynierów, techników, robotników wykwalifikowanych. Muszą o tym myśleć sąsiedzi Belchatowa. Muszą nauczyć się mądrze i rozsądnie polityki kadrowej.

Myślę, że „Belchatów” stwarza ogromną szansę dla młodzieży. I zadaniem instancji partyjnych będzie wyjść z pewnymi propozycjami do organizacji młodzieżowej, aby mogły one zająć się zapewnieniem młodzieży tej szansy, zapewnieniem warunków skorzystania z niej.

— „Belchatów” — jak to umownie zwykliśmy już nazywać te inwestycje — zmieni geografie gospodarza województwa.

— Znacznie. Dziś jeszcze nie zdajemy sobie do końca sprawy z tego, jakie inwestycje powstaną wokół kopalni i elektrowni. Można już dziś założyć, że na pewno przemysł prefabrykatów dla budownictwa, ogrodnictwa, wykorzystujące ciepło odpadów elektrowni, przedsiębiorstwa energochłonne, które powinny być zlokalizowane w pobliżu elektrowni.



Fot. Włodzisław Parys

i centrum zdrowia dziecka, które będą służyły ludności całego regionu.

— Przez Ziemię Łódzką będą przebiegały krajowe i zagraniczne autostrady. Rozwiążą one problem komunikacji nie tylko w skali kraju, ale również problem komunikacji dla Łodzi.

— Trwa budowa autostrady z Warszawy do Katowic, która przebiega przez nasze województwo. Rozpocznemy budowę drogi, która powiąże Łódź z tą trasą przez Piotrków Trybunalski. Następnie budowana będzie autostrada Warszawa — Poznań, która pójdzie inną trasą niż dotychczasowa i która będzie miała odchylenie do Łodzi w okolicy Strykowa. Planujemy zmodernizować trasę na Rawę Mazowiecką, która poprawi połączenie Łodzi z Warszawą i Katowicami.

— A co z trasami kolejowymi?

— I tu przewiduje się duże inwestycje. Między innymi nastąpi radykalna przebudowa połączenia kolejowego Łódź z Kutnem, a także odcinka do Łowicza i innych.

— Trasy kolejowe trzeba będzie zmodernizować i uzupełnić w związku z budową Zespołu Górniczo-Energetycznego w Belchatowie.

— Perspektywy rozwoju województwa nie można w żadnym wypadku rozpatrywać bez powiązania z budo-

A poza tym już dziś wiemy, że specjaliści muszą rozwiązać sprawy z odwodnieniem odkrywek, znaleźć sposoby na wykorzystanie torfu, sposoby na nawodnienie w pobliżu obojętanych terenów rolnych. I będą musieli rozwiązać wiele jeszcze innych problemów, które wynikają z trakcie budowy „Belchatowa”.

— Z zaprezentowanej tutaj koncepcji rozwoju Ziemi Łódzkiej wynika się obraz nowoczesnego regionu, silnie powiązanego z gospodarką kraju, zapewniającego społeczeństwu dobre warunki życia i pracy. Jest to koncepcja oparta na nowoczesnych sposobach myślenia.

— Każdą, nawet najnowocześniejszą koncepcję realizują ludzie. Od nich zależy, w jakim stopniu plany będą spełnione, a w jakim nie. Wojewódzka instancja partyjna, mając doświadczenie w kierowaniu procesami społecznymi i mając poparcie społeczeństwa Ziemi Łódzkiej, jest pewna, że program nasz zostanie pomysłnie zrealizowany. Tę pewność opieramy na tym, że jest to program odpowiadający aspiracjom i potrzebom mieszkańców Ziemi Łódzkiej, Łodzi i całego kraju.

Rozmawiał.  
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TADEUSZ MICHALSKI

# SIEROCTWO SPOŁECZNE

Czy może być coś bardziej tragicznego od widoku dzieci, które same przechodzą do milicji, władz oświatowych z prośbą o umieszczenie ich w domach dziecka.

Mają dość własnych rodziców. Piętko, które im stworzyli, zmusiło ich do szukania pomocy u ludzi obcych. Sieroctwo społeczne.

W roku 1947 we wszystkich państwowych domach dziecka w Polsce było 54,7 proc. sierot naturalnych, w 1974 już tylko 8,8 proc. — pozostałe 91,2 proc. to sieroty społeczne, skierowane do placówek opiekuńczo-wychowawczych decyzją sądów dla nieletnich.

Przerabiając w swej wymowie są badania przeprowadzone w łódzkim Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym nr 2. Otóż spośród 136 wychowanków przebywających w roku 1973 w placówce, w 51 przypadkach matki naszych podopiecznych uprawiały nierząd, w 35 przypadkach rodzice dzieci byli nalogowymi alkoholikami, a w 50 popadali w kolizję z prawem (kontakty ze światem przestępczym, pobyt w zakładzie karnym).

## SKUTKI „RODZICIELSKIEJ EDUKACJI”

Spróbujmy odpowiedzieć teraz na pytanie: jakie są te nasze dzieci, którym „rodzice” zgotowali taki los i którzy ponoszą wyłączną odpowiedzialność za owoce swej edukacji. Oto kilka przykładów z własnego, łódzkiego podwórka:

We wspomnianym wyżej Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym nr 2 przebywa aktualnie 42 dzieci w wieku od 3 do 14 lat. Z grupy tej sześćoro weszło już w kolizję z prawem (kradzieże, włamania), dziesięcioro wykazuje upośledzenie umysłowe, czworo cierpi na poważne zaburzenia charakterologiczne, pięcioro jest pod stałą opieką poradni zdrowia psychicznego, ponad 50 proc. to wychowankowie opóźnieni w nauce od 1 do 4 lat.

Na 2.586 dzieci obojga płci (w wieku od 3 do 16 lat), przebywających w domach dziecka na terenie woj. wrocławskiego stwierdzono ciężałość umysłową u 896 (34,7 proc.) a upośledzenie umysłowe u 148 (5,7 proc.) wychowanków. W populacji polskiej ciężałość umysłową wykazuje wg oceny szacunkowej około 18 proc. ogółu dzieci, a niedorozwój umysłowy ok. 2 proc. dzieci. W zbędanej przez psychologów z Wojewódzkiego Ośrodka Selekcji wrocławskiej populacji wychowanków domów dziecka — normalną i dobrą sprawnością umysłową wykazało się zaledwie 59,6 proc. dzieci, czyli o ok. 20 proc. mniej niż w populacji generalnej.

Badania przeprowadzone w Warszawie w latach 1950—51 wykazały, że 61 proc. nieletnich przestępców pochodziło z rodzin rozbitych. „Na podstawie zestawienia przypadków dzieci zgłoszonych w ciągu dziesięciu lat do jednego z największych ośrodków psychiatrycznej dziecięcej we Francji z powodu różnych zaburzeń rozwoju i zachowania ustalono, że tylko 28 proc. tych dzieci pochodziło z rodzin wykazujących względnie normalną strukturę i atmosferę, 51 proc. dzieci pochodziło z rodzin rozbitych lub też przebywało przez dłuższy czas poza kręgiem rodzinnym, 21 proc. dzieci natomiast żyło w rodzinach, które pod względem formalnym były wprawdzie rodzinami pełnymi, wykazywały jednak rozkład wewnętrzny.”

Czyż trzeba więcej przykładów? Fakty mówią same za siebie. Krzywdą dziecka jedno ma imię bez względu na miejsce, w którym się dzieje. Przedstawione dowody nie wyczerpują oczywiście całego ogromnego wachlarza krzywd, jakie wyrządzili swym dzieciom ich tak zwani rodzice. Tragiczną epopeję nieszczęśliwych dzieci należałoby uzupełnić jeszcze rozdziałem o spustoszeniach psychicznych i fizycznych spowodowanych przebywaniem dziecka w środowisku marginesu społecznego, ludzkiego

dną. Jest to jednak temat zbyt obszerny i skomplikowany, aby można go potraktować marginesowo. Być może wrócić jeszcze do tego zagadnienia przy innej okazji.

W rozważaniach powyższych ograniczę się jedynie do dwóch przykładów, które, choćby cząstkowo, pozwolą uzmysłowić — nam, zdrowej części społeczeństwa — tragedię dzieci — sierot społecznych, którym ich rodzice zgotowali ten los. Halina Filipczuk w pracy „Specyficzne potrzeby dziecka pozbawionego rodziny” stwierdza:

„Do domów dziecka kierowane są najczęściej dzieci, których elementarne potrzeby nie były zaspokojone przez najbliższe otoczenie (...) Dziecko głodzone lub choćby tylko nie dożywione przez rodziców (pogotowie opiekuńcze i domy dziecka przyjmują dzieci 4-letnie ważące 11 kg, 7-letnie o wadze 16 kg, a nawet 13-letnie o wadze 23 kg) może zatracić normalne lanknienie (...) U niektórych dzieci w wyniku niezaspokojenia potrzeb żywieniowych wytworzyły się niewłaściwe nawyki: gdy jest jedzenie, dziecko spożywa je w nadmiernych ilościach „na zapas”, w obawie, że potem nie będzie, że może zabraknąć. Jeszcze inne dzieci nauczyły się



Fot. Włodzimierz Parys

zaspokajając swój głód pożywieniem jednostajnym, np. „suchym prowiantem”, nie przywykły do potraw bardziej skomplikowanych, sałatek, surówek, zjadają natomiast olbrzymie ilości chleba, wędliny, czasem zupy.”

Przywołała je (do Pogotowia Opiekuńczego) przedstawicielka Ligi Kobiet. Trzy małe, wychudzone i zalaknione dziewczynki: ośmioletnia Helenka, pięcioletnia Kasię i trzyletnią Zosię. Wszystkie trzy w łachmanach, nieopisanie brudne. Pozlepiane brudem ciemne włosy roily się od wszy (...). W ciągu pierwszych dni pobytu w Pogotowiu zachowywały się jak nie oswojone zwierzątka. Trzymały się zawsze razem, z dala od dzieci (...). O wzięciu za rękę czy pogłaskaniu nie było mowy. Trudno też było porozumieć się z nimi. W jadal-

ni rzucaly się lakomie na jedzenie. Zupę dosłownie wiewaly w siebie, a pokarmy stały lykaly chyba bez zucia. Mogły jeść bez końca, żadna ilość nie była w stanie ich nasycić. Jadły żarłocznie i niechlujnie. Kartofle z zupy wybierały rękoma, kości rzucaly na podłogę (...). Nie umiały bawić się zabawkami. Lalka wzbudzała zdziwienie, nieśmiało dotykały jej palcami i natychmiast cofaly rękę. Nie wiedziały, do czego służą klocki. Na widok pluszowego misia — Zosia uciekla z krzykiem. Pierwszego dnia pobytu w Pogotowiu Zosia przyprowadzona do sypialni nie umiała położyć się do łóżka. Nie mogła poradzić sobie z kołdrą i poduszką, widziała te przedmioty po raz pierwszy w życiu.”

Dziesięcioletni Jacek pochodzi z rodziny rozbitej. Ojciec od pięciu lat przebywa w więzieniu za usiłowanie zabójstwa w stanie nietrzeźwym. Matka mieszka z przyjacielem. W tym „dobrym” towarzystwie zabrakło miejsca dla dziecka. Okazało się niepotrzebne. Przeszkadzało matce i przyjacielowi. Maltretowane i głodzone, wyrzucane na noc z domu, przyszedł wreszcie do Kuratorium prośbę o umieszczenie w domu dziecka. I co się okazało? Po kilku dniach pobytu w placówce Jacek ucieka do matki. Doprowadzony do domu dziecka następnego dnia ponownie ucieka. Czynność tę powtarzać będzie jeszcze kilkakrotnie.

— Jacku — pyta dyrektor — dlaczego uciekasz? Sam prosiłeś o umieszczenie w domu dziecka, a teraz co robisz? Czyżby było ci u nas źle? — Nie, proszę pana, jest mi dobrze.

— No to dlaczego uciekasz? — ponawia pytanie dyrektor. Milczenie. Niecierpliwym brakiem odpowiedzi sięga po najcięższy argument. — Uciekasz do matki, która cię nie kocha i wyrzuciła z domu. Nic z tego nie rozumiem.

— Tak, proszę pana, ja wiem, że mnie nie kocha ani matka, ani ojciec. Ale ja mam w domu psa, a on mnie kocha.

Nikt tak mocno, jak dziecko, nie pragnie miłości, miłości najpiękniejszej i najczystszej — rodzicielskiej. Pamiętajmy jednak — sygnalizują to liczne badania — że dziecko odrzucone przez rodziców po pewnym okresie czasu traci zdolność przywiązania się do ludzi, i nie ma już potrzeby tworzyć się, że ktokolwiek je opuści.

„Stwierdzono również, że dzieci pochodzące z dobrych i szczęśliwych małżeństw, mając za sobą szczęśliwe dzieciństwo, posiadają w wieku dojrzałym więcej szans na założenie własnej, pełnowartościowej rodziny”. Pamiętajmy o tym...

# SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



## JERZY JARMOŁOWSKI

takiemu na włosie szedłaby głębiej rosła (z tomiku „O dziewczynach...”)

Uwaga powyższa odnosi się do trzech pierwszych tomików: potem upodobał sobie przede wszystkim sonet. Mówiąc to, nie twierdzimy bynajmniej, że poeta, który pisze sonety, rezygnuje tym samym z tendencji do kondensacji znaczeń — a jeśli o tym wspomniamy, jak gdyby przeciwstawiając sobie te dwie kwestie, które przecież wcale nie muszą się wykluczać, czynimy to dlatego, iż jest mimo wszystko coś zaskakującego w samym tym fakcie: oto poeta, debiutujący pod auspicjami poetyki awangardowej, nagle deewduje się na formie wypowiedzi tak bardzo przejętą „staroświecką”. Sądźmy, że stało się to nie przypadkowo, że zadecydowały o tym kwestie nie tylko natury formalnej.

Jarmołowski, dzięki doświadczeniu, jakie wyniósł z realizacji programu, który sobie nakreślił w pierwszych tomikach, odkrył nieprzewidywalną sprzeczność, do jakiej program ten musiał przedrzeć, czy później doprowadzić. Jest w tomiku „W która tobie stronie” wiersz o charakterystycznym tytule: „Zapis nam wszystkim doskonale obojętnym” — dzieki któremu docieramy do podstawowego założenia o charakterze diagnozy: niezadowolający stan współczesnego świata jest spowodowany tym, że ludzkie podmioty działające są nie dość wrażliwe moralnie na to, co się wokół nich dzieje. W konsekwencji pojawia się następujący kanon sensu działalności poetyckiej: poeta powinien być kimś, kto potrafi wwieierać istotny wpływ na ludzka wrażliwość moralną, czyniąc z niej coraz to doskonalszy instrument reagowania na świat, na to, co się w tym świecie dzieje i może być w nim niedoświadczane. Zauważmy przy tym, że moralność nadal się tu własność bezennego elementu kultury, bez

którego nie można z sensem mówić o człowieczeństwie nie zagrożonym rychłym kataklizmem. Oczywiście, moralności rozumianej jako wrażliwość sumienia, która zdolna jest przerodzić się w czyn w obronie życia ludzkiego, i to bez względu na to, jakie by ono nie było.

Ale żeby zrealizować nakreślony program, poeta powinien posługiwać się takimi środkami ekspresji poetyckiej, które by stwarzały szanse przeciwdziałania wykładanym powyżej zabiegom w reagowaniu na świat bodźców zewnętrznych. Jarmołowski wybiera szok; szok, który ma się pojawić w wyniku eksponowania „wizji przerażających”, „odstraszających”, „wizji ukazujących negatywne strony świata w niezwykłym nateżeniu. Jednocześnie sam w końcu zauważa, że „reagujemy na coraz silniejsze bodźce” — a sformułowanie to może stanowić zarówno przesłankę uzasadniająca potrzebę coraz silniejszego potęgowania „efektów szokujących”, jak i stwierdzenie ukazujące złudność obranej drogi: zamiast bowiem „uważliwie”, obrana metoda prowadzi do skutków wręcz przeciwnych, do coraz większej „niewrażliwości”, podnosząc próg reagowania. Wydaje się, że poeta w pewnym momencie zdal sobie z tego sprawę.

Nie znaczy to jednak, że zrezygnował z szoku. W następnym dwu tomikach — „Zielnie i weselnie” oraz „Może ja kocham wszystko co garbate” — szok stosowany jest równie wyraźnie i często, jak i w tomikach omawianych powyżej; uległy zmianie jedynie jego funkcje: szok stał się kunstownym narzędziem podkreślenia kontrastów, narzędziem dynamizowania poetyckiej „narracji”. Śmiałybysmy jednakowoż twierdzić coś więcej: to mianowicie, że „potrzeba szokowania” jest w przypadku Jarmołowskiego stała cechą jego osobowości twórczej w tym sensie, że stanowił jak gdyby formę ludzkiej potrzeby ekspresjonowania, unaoznaczenia swojej obecności w świecie i swojej w nim inności; szokowanie stało się po prostu sposobem bycia:

— gdzie idziesz Jerzy — toś do nieba panie  
— przyjdź Jerzy z psem swym kobiele i woltem  
cosik twe wiosny i jesienie gole  
co ty mi niesiesz — skórc z sieble panie

— w niebo nie wejdziesz zleml się wymknales  
gdzie pójdziesz Jerzy — a do piekła chanie  
— i co zaniesiesz — czelece umieranie  
— nie zda się nawet by uwarzyć smole

tak mi gadają to w niebie to w piekle pany  
ze panskosc chaniem niepokoje chamy zem niecham a za chama stoję  
ziemi sie wróce choc tam mnie ustekli  
— gdzie idziesz jarmol — a w dupę trza mi się przebrać w co dla niepoznaki  
(z tomiku „Może ja kocham...”)

Osobście uważamy, że poezja ta — ujmując ją globalnie — uwikłana jest w trudny do ukrycia dramat: z jednej strony chce służyć szlachetnym celom naprawy świata, z drugiej zaś — uciekać w śmiech i zabawę, by łatwiej zapomnieć, że na czeplach często przychodzi nam się zatrzymywać...

Możliwe jest wszakże podanie innego jeszcze „usprawiedliwienia” dla wyboru, jakiego dokonał poeta. Oto poezja po wielokroć chciała byćwać wszystkim, tylko nie poezją — tzn. wszystkim, tylko nie tym, by być poezją „poetycką”:

czymże mi mili z wami się ugadać wadzić o słowa zrec o słów potknięcia  
miast wódkę skubać trawę na przyjęciach  
paniom nie w trawie a w mowie dogadzać

co mi tu taki niejak w pretnsjach co cye poezji od gusel okaza  
dziwi że mleko w tym ecy ea ea ea toć krowę doję nie krowie pojęcia  
a taka krowę żebę w locie widzię by była lekka niezym z ptaka zdjęta  
wpięw bliźnich kochać trza lub nienawidzić

że mi z lebiody człapie w sonet śliczna  
pozwalam sobie bliźnich nie pamiętać tyle że krowe doje w rekawczkach  
(z tomiku „Może ja kocham...”)

ANDRZEJ BISKUPSKI

# REFORMA SZKOLNA

Z myślą o tym by naukowa teoria organizacji i zarządzania możliwie najszersze zastosowanie w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych województwa łódzkiego, Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych Łódź-Województwo — Zakład Kształcenia Kadr Kierowniczych ma obowiązek doskonalenia kadry kierowniczej.

W celu realizacji zadania, Zakład w porozumieniu z Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego opracował plan powołanego samokształcenia kadry kierowniczej. Ze względu na dużą liczbę stanowisk kierowniczych, a stąd brak możliwości objęcia doskonaleniem równocześnie wszystkich dyrektorów szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, plan powołanego samokształcenia kadry kierowniczej zaprogramowano na lata 1977/78. W powołanym samokształceniu biorą udział dyrektorzy przedszkoli, dyrektorzy szkół podstawowych oraz dyrektorzy szkół zawodowych.

Program powołanego samokształcenia opracowany przez Instytut Kształcenia Nauczycieli w Warszawie realizowany był w następujących formach:

- tygodniowa sesja wprowadzająca,
- cztero-pięciodniowy okres samodzielnego pracy zespołowej i poszczególnych uczestników,
- tygodniowa sesja podsumowująca.

Celem powołanego samokształcenia zgodnie z założeniami organizacyjno-programowymi było:

- opowieszczenie wśród kadry kierowniczej podstaw wiedzy z teorii organizacji i kierowania szkołą lub placówką oświatowo-wychowawczą,
- konieczność posiadania wiedzy specjalistycznej i systematycznego jej aktualizowania,
- pobudzanie kadry kierowniczej do wdrażania podstawowych założeń teorii organizacji i kierowania w działalności praktycznej,
- przekonanie ogółu kadry kierowniczej o potrzebie systematycznego aktualizowania własnej działalności kierowniczej,
- wprowadzanie niezbędnych innowacji oraz upowszechnianie dobrych doświadczeń.

Tematyka zajęć obejmowała:

- aktualne problemy polityki oświatowej,
- teorię organizacji i kierowania placówką,
- metody i techniki badawcze,
- prezentację przeprowadzonych wyników badań,
- sprawdzenie wiadomości,
- przeprowadzenie indywidualnych rozmów,
- podsumowanie pracy zespołu samokształceniowego.

Dowodem mówiącym, że wysiłki pracowników administracji szkolnej reprezentujących Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego i pracowników Zakładu Kształcenia Kadr Kierowniczych Instytutu Kształcenia Nauczycieli nie minął się z celem, były sesje podsumowujące prace samokształceniowe zespołów. Podczas ich trwania z łatwością dale się zaobserwować duże zainteresowanie kadry kierowniczej problemem wdrażania naukowej teorii organizacji i zarządzania do praktyki dnia codziennego. Zainteresowanie, które znajdowało wyraz w aktywnym uczestnictwie w zajęciach, rozważaniu, własnymi wartościowaniu książek, wnioskami obserwacji życia szkolnego, umiejętnych porównaniach i szerokim wnioskowaniu.

Wynikające z programu rozmowy indywidualne zgodnie z założeniami programu wykorzystane zostały między innymi na zebraniach opinii uczestników kursu na temat przydatności doświadczenia w formie powołanego samokształcenia. W trosce o to, by opinie kadry kierowniczej szkół podstawowych i przedszkoli były absolutnie szczerze poproszono o anonimowe wypowiedzi na piśmie.

Oto jedna z wielu powtarzających się relacji:

— „Podczas sesji wprowadzającej wykładowej zapoznaliśmy się z zagadnieniami teorii organizacji i kierowania. Było to bardzo korzystne ze względu na fakt, że ja i moi koledzy po raz pierwszy zetknęliśmy się z wyżej wymienioną tematyką.

Na zajęciach seminarijnych zostaliśmy przygotowani do pracy badawczej. Tematy prac badawczych zmobilizowały nas do pracy samokształceniowej. Trud pracy samokształceniowej bardzo się opłacił. Moja wieloletnia praktyka zawodowa została mocno podbudowana teorią naukową. Prezentacja prac badawczych i dyskusja nad nimi była źródłem interesujących wiadomości bardzo przydatnych do dalszej pracy. Bardzo dobrze stało się, że kurs zakończony rozmowami Komisji z autorami prac badawczych. Osobście bardzo wiele skorzystałam, a co najważniejsze zostałam zachęcona do dalszego działania.

Dzięki wiadomościom z zagadnień samokształcenia podjętym z inicjatywą Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie przez dyrektorów szkół podstawowych województwa łódzkiego”.

Cytowana wypowiedź wyraża się jednoznacznie świadczą o tym, że inicjatywa IKN dotycząca doskonalenia kadry kierowniczej szkół i placówek oświatowo-wychowawczych podjęta i realizowana przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych Łódź-Województwo — Zakład Kształcenia Kadr Kierowniczych wdrażania naukowego doświadczenia w dziedzinie teorii organizacji i zarządzania do praktyki dnia codziennego pozwolił odciążyć kadrę kierowniczą od rozwiązywania problemów już rozwiązanych, a tym samym wydatkować jej energię w jedynie słusznych kierunkach wychowawczych przez decyzję w sprawie reformy szkolnej.

W utrzymaniu skutecznego kierunku działania przyjętego przez kadre kierownicze szkół i placówek oświatowo-wychowawczych biorąca udział w powołanym samokształceniu niewątpliwie wydatnie pomoże powołana kadra kierownicza: pracownicy pedagogicznej administracji szkolnej oraz wybitni metodyści przedmiotowi. Kadra ta bowiem ma wiele do powiedzenia w zakresie realizacji koncepcji szkoły dziesięcioletniej.

MGR TERESA BERGMAN

Pan Stasiu opowiadał radośnie o rajdzie „Safari”. Mina mu zrzedła, kiedy zaczął siałomować poboczami. Pchaliśmy się w tempie dwudziestu kam na godzinę nad rowami, wśród bajor i błotnistych pułapek.

— Znudziła mi się ta jazda — oznajmił zapalając papierosa.

— Dobijemy, panowie! — krzyknął Stanisław Adamczyk, dyrektor techniczny „Terpolu”. — Autobusy jedzą, my też mamy radę! Ja raz miszkę urwałem, ale teraz jest miękko...

— Mieszkać to bym tu chciał — powiedział pan Stasiu, kręcąc akordowo sterem. — Różne tylko posiadzie, wstawić ule i żyć można na wysoko sielskiej stopie.

Nad błotnistą drogą stały chłopskie wille ogrodzone kolorową siatką. Za willami białe, wielkie jak kościoły stodoły pod żółtym eternitem.

— A zajrzyj pan do środka! — powiedział Adamczyk. — Bez wody, centralnego i łazienki już się nie buduje. Ja to wiem, bo zakładamy te rzeczy na zamówienie.

I tak tłuśliśmy się tą cholerną drogą. Na północny kraniec powiatu, do jakiegoś zadupia, tfu, do Zamłynia znaczy się. Po co? Raz Longin Koszacki, inspektor wojewódzki, wspominał, że jest taka firma budowlana, która bez mitręgi stawia chłopom obiekty od a do zet. A potem patrzyłem podejrzliwie na rozmówców, gdyż zaczęli opowiadać o świńskich miasteczkach...

1.

Powiat sięgał kiedyś środka Polski. Teraz skurczył się. Długaczny z północy na południe, ale wąziutki. Nowy administracyjny krój nie zmniejszył jednak rangi Sieradzkiego na mapie województwa. Nie ma mowy o stagnacji czy regresie, inicjatywy ludzkie też nie zamrożone. W roku 1974 produkcja zwierzęca kółek rolniczych stanowiła trzecią część produkcji kółek całego województwa. Koszt produkcji jednego kilograma żywności wyniósł średnio 35 zł, a w kółku rolniczym w Goleniach obniżono go do 16 zł. Warto dodać, że na kilogram mięsa zużyto cztery kilogramy paszy, co jest jednym z najlepszych wyników uzyskiwanych w hodowli. Resztę danych pozostawiamy na potem...

— Jak się to robi, tow. sekretarzu? — zwracam się do Zygmunta Roźniaty, I sekretarza KP w Sieradzu. — Przecież kółka rolnicze stają się podobno przeżytkiem...

— Tak, ale dotychczas one właśnie wiodły prym w gospodarce rolno-hodowlanej. Od 1 stycznia nie będzie gminy bez Spółdzielni Kółek Rolniczych. Dotychczas, mamy połowę stycznia, w jedenastu gminach powstało sześć SKR.

— Spotykałem się z uwagami rolników, że kółkiem rządzi partakulizm. Czyli każdy sobie rzepkę skrobie. Na przykład podczas żniw wynikały awantury, ponieważ kółko z jednej wsi nie pomagało rolnikom z sąsiedniej.

— Dlatego też tworzymy SKR, które mają obowiązek świadczyć usługi na terenie całej gminy. Istnieje nawet napór ze strony aktywnego kółkowego do rychłego powołania SKR.

— Czyżby kółka rolnicze uległy całkowitej likwidacji? Może stanowią konkurencję dla SKR i rolników?

— Skądże! One się wzajemnie uzupełniają. Rolnik jest zadowolony z istnienia kółek, gdyż czerpie z tego korzyść. Na przykład może zawrzeć z kółkiem umowę na tucz warchlaków. Kółko dostarcza na miejsce materiał hodowlany. W ub. roku rolnicy przejęli z kółek bezgotówkowo dwa tysiące zaproszonych macior, których wartość splacali potem warchlakami, a do czasu ich wychowu mieli zapewnioną bezpłatną pomoc weterynaryjną. I to jest właśnie to, co nazywamy na wsi kooperacją. Jedną z przyczyn wzrostu hodowli. Dzięki kooperacji nieźle prosperują kółka, które broniąc się dotąd przed przyjmowaniem ziemi z gospodarstw podupadłych, wołają teraz o więcej ziemi. Tylko w drugiej połowie ubiegłego roku otrzymały jej pięćset hektarów, ale potrzeby są większe.

Tow. Roźniata, choć nie z roli, na rolnictwie zna się znakomicie.

— Nie można kierować powiatem, jeśli się nie ma dokładnego rozeznania i nie utrzymuje stałego kontaktu z terenem.

2.

Na przestrzeni trzech lat nie blyszczący wcale powiat gruntownie zmienił się pod względem produkcji. Kółka rolnicze dały w ub. roku tysiąc dwieście ton tuczniaków. A były jeszcze opasy, czyli wolvolina. Powiat nie dałby najwięcej mięsa, gdyby nie wyprodukował największej w województwie ilości ziemniaków i trzeciej ilości zboża. Niewątpliwie mechanizacja też zrobiła swoje, choćby ciągniki, których jest obecnie ponad tysiąc sto oraz „Vistule”, udostępniane na dogodnych warunkach spółkom chłopskim.

Ale do rozwoju hodowli konieczne są jeszcze tanie i szybko wznoszone budynki inwentarskie. Tymczasem z materiałami budowlanymi kručno. Trzeba chwycić się sposobów, omijając przepisy. Przychodzi rolnik do gmi-

mentację włoską. Obecnie liczą się tylko obiekty inwentarskie trwałe, nowoczesne i zmechanizowane. Dzięki nim uda nam się w tym roku wyhodować około 21 tysięcy tuczniaków. — To bardzo poważne zadanie.

fela zamówień budowlanców. Interesowały mnie szczególnie świńskie miasteczka.

— Utworzyliśmy w naszym przedsiębiorstwie zakład remontowo-budowlany — powiedział dyrektor Bal-

zdzęto w toku ujawniania rezerwy ludzkich.

Zatrudnienie zależne od wielkości wartości usług i kropka. Gdyby w grupie 22 pracowników znaleźli się sami fachowcy, niezbędni zwłaszcza przy pracach wykończeniowych, to byłoby nieźle, ale niestety, rzemieślników brak. Cygańskie życie też nie kuszą, trzeba tłuc się w terenie wysłużonym samochodem lub dojeżdżać autobusem z delegacją w kieszeni.

Spośród tych dwudziestu dwóch wielu pracuje łopata. Gdyby był sprzęt, tj. spychy, ładowarki, dźwig i wywrotki, może udałoby się zatrudnić fachowców zamiast „łopatowych”. Siła robocza jest droga. Siła ludzkich mięśni...

Sprzętu nie ma, ponieważ MHWiU nie posiada rozdzielnika na sprzęt budowlany. Rozprowadza go ZREMB, budownictwo zreszta też boryka się z niedostatkiem maszyn. No, ale przecież wieś i produkcja żywności są teraz podobno najważniejsze.

Trudno zdobyć armaturę kanalizacyjną i urządzenia sanitarne do chlewni. Trudno utrzymać łączność z terenem, przydałyby się radiotelefony.

A wracając do fachowców: muszą oni prowadzić remonty i konserwacje własnych budynków i pomieszczeń. Trzeba ich odciągać od prac zleconych w terenie i pchać do własnych zakładów, w których obowiązuje wykonanie planu.

W bieżącym roku zakład remontowo-budowlany ma być podporządkowany zakładowi głównego mechanika, aby w szybszym tempie można było zaspokajać wykonanie usług w terenie. Nie wiem, na czym to będzie polegać, ale uważam, że trzeba zrobić wszystko, aby budowniczymi miasteczek dla świń mogli pracować lepiej i wydajniej.

4.

Wielkiśmy się opieszale tą cholerną drogą, lecz dyrektor Adamczyk nie tracił humoru.

— W niewesołych czasach — opowiadał — przyjeżdżał do wsi urzędnik z wysokiego szczebla. Na zebraniach ludzie pomstowali: na kontyngenty i kłęb, że w mieście leżą, bo zrobił swoich osiem godzin i spokój. A we wsi lepiej, mówili na to urzędnik, bo kobieta przykućcie, dziesięć minut ciągnie krowie cycki i ma osiem litrów mleka. Gdyby robotnik tak ciągnął przez osiem godzin, to ho, ho, ho!

Tak nas rozweselał dyrektor, a ja, wielki niewdzięcznik, naraziłem go potem na koszty w knajpie zwanej „Regionalną”. Krzesła i ławy były tam pieruńsko ciężkie, dębowe...

Dotarliśmy do Zamłynia. Piaszczyste wzniesienie, niezbyt VI klasy, wietrznie i pachnąco, bo tuż młody las sosnowy. Miejsce w sam raz na bimbrownię, lecz ja, spojrzawszy raz tylko, zaraz wpakowałbym tam kolonię letnią.

No, bo wprawdzie na przodzie stercał w charakterze pakamery wrak czerwonego autobusu z zakopconą rurą na dachu, ale dalej widniało osiedle kolorowych domków, przecięte szeroką ulicą. Żółte eternitowe dachy, szare ściany, zielone drzwi i drzwiczki. Dwóch ludzi malowało zieloną farbą wietrzniki.

— A dlaczego te domki stoją tak daleko od siebie? — zainteresował się pan Stasiu.

— Na wypadek, gdyby w którymś wybuchła zaraza. Można szybciej zlokalizować ognisko. Ale tę przestrzeń między domkami ogrodzi się i będzie służyła za wybieg. Pół zimny wychów.

— A te ścinki? — spytałem wskazując kolorową stertę.

— Anilana. Wkłada się między płyty, dla ocieplenia pomieszczeń. Nie zgnią, bo przesycone wapnem.

Oglądaliśmy z uwagą budowane jak z klocków domki. Płyty produkowane w Warcie nakładają się, jedna na drugą i skreca podwójnie. Konstrukcja dachu drewniana.

— No a gdzie ten korytarz paszowy?

— To właśnie ta ulica. Będzie nią jeździł ciągnik z pojemnikiem, z którego wlewać się będzie karmę do stojących na zewnątrz koryt. Mieszanka będzie specjalna do karmy, obiekt socjalny dla zalogi — powiedział dyrektor Adamczyk.

— A ja myślałem, że to miasteczko dla samych świń — zdziwił się pan Stasiu.

— Tysiąc świń i tylko trzech ludzi do obsługi. Ile by kosztowało wyhodowanie tysiąca świń w gospodarstwach indywidualnych, trudno powiedzieć, ale na pewno wielokrotnie drożej.

Będą rosły miasteczka dla świń i bydła. Będzie więcej mięsa, ale muszą się znaleźć rezerwy paszowe. Można je uzyskać z nadwyżek w gospodarstwach nie specjalizujących się w hodowli. Melioracje kompleksów łąk nad Wartą i Łużycą da nie 50, lecz 100 kwintal; siana z hektara, co pozwoli dodatkowo hodować 10 tysięcy sztuk bydła.

RYSZARD BIŃKOWSKI

## W MIASTECZKU SAME ŚWINIE

ny i mówi, że ma glinę pod lasem. Kopałby i wypalał. Zabronić? Jak nie sprzedaje cegły poza powiatem, to niech kręci ten interes, nawet bez podatku.

W 1974 roku w cegielniach, betoniarniach, i w chłopskich zagrodach uzyskano jedenaście milionów jednostek ceramicznych (cegły i pustaki), w bieżącym zaś, jak dobrze pójdzie, uzyska się piętnaście milionów sztuk.

— Jeśli rolnik ma szczerze zamiary — mówi Roźniata — nigdy nie pozostaje sam. Nie jesteśmy w stanie pomóc mu szybko, ale też nie możemy go zapomnieć. Nawet, jeśli chodzi o drobne inwestycje. W ub. roku nie było u nas spraw nie załatwionych. Wiece, co to jest „Terpol” — rzuca nagłe pytanie.

— Pierwsze słysze...

— To jest Sieradzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Terenowego. Z inicjatywy dyrektora naczelnego, tow. Kierocińskiego, utworzono tam brygadę remontowo-budowlaną, która w oparciu o typową dokumentację, buduje pierwsze w kraju świńskie mia-

— Tak, ale należy ufać ludziom. W ub. roku były kłopoty, brakowało wody, którą trzeba było dowozić i płacić jak za masłankę, a jednak udało się z hodowla. Na wsi również obowiązuje dyscyplina pracy, a składają się na nią słowność i solidność rolników.

3.

Na ulicy Warckiej w Sieradzu znaleźliśmy budynek bez szyldu, w którym usadowił się „Terpol”. Ściany podziabane, w korytarzach pokruszony tynk, na schodach gumowe węże, błysk palników spawalniczych. Dyrektor Adamczyk akurat krzychał w słuchawkę:

— Halo, Malków? Co jest, do cholery, z tym zwirem? Chcecie, żebyśmy przez was stanęli z robotą?

Odłożył słuchawkę.

— Mieli dawać trzydzieści ton żwiru — powiedział — a dają dziesięć. Przez kilka dni w ogóle nie dali. Nie możemy się wyrobić. Teraz przystosowujemy ten budynek na biura, na-

czek — którego zadaniem jest świadczenie usług dla kółek rolniczych i rolników indywidualnych. W oparciu o typowe projekty możemy budować obory, stodoły i chlewnie. Podstawowe materiały budowlane, jak cegły, cement, wapno i drewno, zakupujemy natomiast typowe elementy prefabrykowane — słupy, płyty budowlane i chodnikowe, pustaki, belki wytwarzamy we własnej betoniarni w Warcie.

— Jak się odbywa realizacja zamówień?

— Przypuśćmy, że rolnik zamierza postawić stodołę. Idzie do gminy (do powiatu już nie musi) i uzyskuje zezwolenie. Następnie upawia się z naszym przedstawicielem co do terminu wykonania i ceny. Jeśli wykona część robót, na przykład fundamenty, odliczamy z ceny. Resztę załatwiamy sami, tzn. przywozimy materiały, posyłamy brygadę i ciągniemy robotę aż do postawienia wiechy. Taniej niż z cegły i o wiele szybciej. Przewadzimy też prace cielestkie, zakładamy centralne ogrzewanie wraz z



Fot. Jerzy Grzegorski

steczka. Tak jest — mówi widząc moje osłupienie — całe osiedla dla świń! Zobaczcie to, pogadacie na miejscu i przekonacie się. Ja tylko powiem, że dzięki „Terpolowi” będziemy mogli poważnie zwiększyć hodowlę. Nie czekaliśmy 700 sztuk prosiąt do miasteczka na 1500 stanowisk w Warcie. Powstaną jeszcze takie dwa: w Szadku i Zamłyniu.

W Niechmirowie oddamy dwie chlewnie, po 1000 stanowisk każda, oparte o naszą sieradzką dokumentację. Są już mniejsze obiekty, np. w Męce, Rakowicach czy Kliczkowie, gdzie można hodować 400 sztuk świń. Warto podkreślić, iż większość tych obiektów wznoszona jest przez przedsiębiorstwa niespecjalistyczne, pracują bowiem na nich brygady kółkowe, gminne i sołeckie. Działalność inwestycyjna w kółkach rolniczych pozwoli nam oddać w kwietniu do użytku dodatkowo dziesięć tysięcy stanowisk do hodowli tuczniaków, np. w Kłonowej będziemy mieć dużą chlewnię (1200 sztuk), opartą o doku-

si ludzie prowadzą remont, trzeba ich odciągać od zamówień w terenie.

Z rozmowy, jaką przeprowadziłem następnie z z-cą dyr. d.s. ekonomicznej, Jerzym Balcerzakiem, wynika, że „Terpol” jest poważnym przedsiębiorstwem, posiadającym jedenaście zakładów produkcyjno-usługowych, m. in. zakład metalowo-drewny, zakłady dziewiarskie, konfekcyjne i giczy, zatrudniającym tysiąc stałych pracowników i pięćset chałupników. Część produkcji idzie na eksport. W roku 1973 zajął pierwsze miejsce w skali Woj. Zjedn. P. PPT, a drugie w kraju. Za efekty produkcyjne i ekonomiczne otrzymał list pochwalny od tow. Gierka.

Przedsiębiorstwo rozwojowe. W roku 1974 na zakup urządzeń i inwestycje przeznaczono 35 milionów złotych, podczas gdy trzy lata temu wartość całego majątku stanowiło 10 milionów złotych. Będzie nowy zakład dziewiarski w Burzeninie (40 milionów złotych) i zakład elementów prefabrykowanych w Warcie. Trudno jednak wedrzeć się do port-

piecami, urządzenia kanalizacyjne, elektryczne, doprowadzamy wodę, instalujemy urządzenia sanitarne.

Zakład remontowo-budowlany pracuje ponad pół roku. „Budowaliśmy dotychczas stodołę w Bartochowie wartości około 160 tys. złotych, z czego połowę pokryto z funduszu postępu technicznego, resztę zapłacił rolnik. W budowie znajduje się chlewnia w Rozdzałach, na ukończeniu jest budowa miasteczka świńskiego (12 obiektów) w Zamłyniu.

Zastanowiłem się, czy to dużo. Mało, chociaż zamówienia ciągle napływają. Dlaczego więc tak mało się robi?

Zakład ruszył z trzymilionowym planem przerobu. Potrzebny mu rozmach, należałoby go dofinansować. Rzecz jednak nie w samych pieniądzach i mecenasach, albo innych filantropach. Place w przemyśle terenowym odbiegają od poziomu wynagrodzeń w przemyśle kłuczowym. W zakładzie remontowo-budowlanym zatrudniano 21 osób, obecnie 22, a miało być 23, lecz jednego fachowca

# PRODUKCJA

## HIPNOTYCZNA

Pisanie o filmach produkcyjnych od dłuższego już czasu ma charakter badań archeologicznych. Gatunek ten wystarczająco skompromitowany swoimi strywalizowanymi produktami rzadko zdobywa się na odwagę publicznych wystąpień.

A przecież nie zawsze musi tak być. Namiętny patos wypowiedzi nie musi wcale oznaczać deklaracyjności; merytoryczna krytyka spraw ważkich nie zawsze skazana jest na tonięcie w werbalizmie. Gatunek filmu produkcyjnego z uwagi na swoje właściwości jest bowiem szczególnie predestynowany do tego, by brać na siebie znaki naszego czasu i aktywnie kształtować socjalistyczną świadomość społeczeństwa.

Film produkcyjny wypływający z żywego pojmowania idei, a nie z instruktażowego zalecenia, ma wszelkie szanse, by stać się istotnym narzędziem realizacji celów naszej polityki kulturalnej. Sam gatunek nie zawiera w sobie przecież niczego, co upoważniało-

by go do apriorycznej dyskredytacji. Jedynie dużo tkwi tu niebezpieczeństw wówczas, gdy stanie się tak, jak miało to miejsce w przeszłości — że produkt twórczości artystycznej włączony był w zakres zainteresowań statystyki i do rażonej propagandy, wymykając się potrzebom artystycznym. Doraźna propaganda i sztuka jeżeli nawet nie stoją w jaskrawej sprzeczności wobec siebie — to z pewnością stanowią parę nie najlepiej dobraną. Inna sprawa, gdy twórca kieruje się w procesie artystycznej kreacji potrzebami zaangażowanej sztuki.

Wszystko, co dotąd napisaliśmy obli-guje twórców do przelamania negatywnego dziedzictwa filmu produkcyjnego, który ich wszak jako twórców zaangażowanych typuje na swoich spadkobierców. Z opozycji wobec filmu — wytycznej, filmu — trybunalego rezonansu, twórcy — maszyn do pisania narodzi-ly się utwory tak istotne i ambigne, jak „Robotnicy”, „Na torze”, „Hydro-

budowa”. W filmach tych treści propa-gandowe właśnie zostały mocno zinten-syfikowane i podniesione do rangi przeżycia dzisiejszości. Pojęcie zastąpi-ło zostało indywidualną ekspresją. Ab-strakcja — szczeniowa z ideą uwewnę-trznią w doznaniu; suche i obiektyw-ne wskazanie „to, co ogólne” jest tylko wariantem deklaracji „to, co moje własne”.

Jednakże występowanie w imieniu prawdy realnej przeciw prawdom proponowanym i, co szczególnie ważne, narzucanym apodyktycznie do zaapro-bowania jest zamierzeniem wyjątkowo trudnym. Trudnym ze względu na pew-ny charakterystyczny podział rzeczy-wistości w świadomości ogólnej na o-biektywną i obiektywnie milczącą za-razem i tą drugą, która przekazywana głosnikowymi powtórzeniami, traktowa-na jest jako jedyna do oficjalnego przyjęcia. Wkroczyłibyśmy tu za mo-ment w podstawowy problem podziału rzeczywistości, a w konsekwencji pos-taw ludzkich na prywatność i oficjal-ność, ale nie o to przecież tutaj chodzi.

Ważna jest konkluzja: przekazywa-nie prawdy o naszym świecie ma cha-akter odkrywania ziem nie znanych — w obrębie sztuki. Dlatego chyba wzbud-zanie zainteresowania literaturą i filmem politycznym i produkcyjnym ma — po drodze dwie przeszkody do pokonania. Po pierwsze wyzwolenie sztuki i świa-domości odbiorcy ze schematów, w któ-re współczesna sztuka o tej tematyce już nie chce i nie potrafi się nieść, po drugie — uniknięcie kształtowania nowych, sztywnych schematów — bo-wiem te zapowiadałyby nowemu rychno-zgon i wywoływałyby skutki wręcz od-wrotne do zamierzonych. Wydaje się zreszta, że to drugie jest trudniejsze niż pierwsze. O ile bowiem mocą in-wencji udaje się zaproponować nowy sposób wysławiania prawd ideologicz-nych, o tyle ta nowa konwencja często przetrada się w manierę służącą nie odświeżeniu gatunku, ale repetycyjom skądinąd wyekspluotowanych już treści,

Bywają zresztą filmy, w których ma-nieryczność widoczna jest już na pier-wszy rzut oka — jako stan wymusza-nia na twórcywie artystycznym nowych form myślenia, umiejętnego podciągania się pod modne w przewidywaniu efek-ty. Nowość jest tu funkcją nie potrzeby wewnętrznej, lecz kalkulacji, przynagl-ania presją chodliwych wzorów.

W tym miejscu rozważań najstusz-niejsze wydaje się być orzycowanie jednego z najnowszych produktów Wy-twórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Jest nim film niedawno debiutanta Piotra Andrejewa — „Środek drogi”. O pierwszym filmie tego twórcy pisaliśmy niedawno na łamach „Odsłósów” nie szczędząc mu zasłużonych pochwał. Jednakże mimo pewnych istotnych po-dobieństw obu tych filmów tym razem sprawa wygląda inaczej. Tematyka obu filmów jest zdecydowanie różna. O ile w filmie „Idzie mróz” nastąpiła zdecy-dowana zgodność pomiędzy tematem, a wykorzystanymi w filmie środkami for-malnymi, o tyle w filmie „Środek dro-gi” sięgnięcie po poprzednie doświadcze-nia i zuytkowanie ich do potrzeb tego filmu wydaje się problematyczne.

Oto wydłużona, betonowa autostrada zdała samotny „Citroen”. Na tylnym siedzeniu spoczywa postać meska bliżej nie określona w swym charakterze. Zza kadru dobiegają tajemnicze śpiewy — znak to, że rzeczywistość nabiera znamion wyżyźności. Spoza dróg przeo-ranych zębami koparek wjeżdżają w kadr ogromne buldozery. Nie opodal w sennym transie poruszają się robotni-cy budowlani. Ich twarze narzucają swoim piętnem dal. Wzrok nurza się w głąbinach przestworzy. Tajemnicza po-stać w czarnym samochodzie okazuje się być dyrektorem wielkiej budowy. Nagle reżyser pokazuje fragmenty dyrektorskich debat. Dyrektor nie szkolony widać poprzednio na kursie dla początkujących widm używa jak na

złość języka prostego, wplata wyrażenia nieparlamentarne. Grozi to zbanalizo-waniem całej poetyki filmu. W związku z tym Andrejewa obficie posługuje się wstawkami, w których gesty robotni-ków są coraz bardziej samnambuliczne, a ujęcia buldozerów napawają widza grozą, kojarząc się raczej z inwazją ta-jemniczych obiektów z Kosmosu.

Z filmowej hipnozy wyrwa nas głos dyrektora: „jest trochę dalej niż na po-zczątku drogi”. I tak kończy się film. Rzecz jasna — krótki opis nie może wystarczająco uświadomić całego bogactwa wyżyźności tego filmu. Nie starczyło miejsca na zachodzące krwawo słońce, ogromną, zieloną łakę, groźną fakturę terenów budowlanych. Ale już to, co przekazaliśmy wystarczy chyba na poparcie stwierdzenia, że poetyka tego filmu znacznie odbiega od cha-rakterystycznej dla tego gatunku fil-mowego poetyki realizmu. Zarazem je-dnak deformacja rzeczywistości zasto-sowana w tym filmie, nie ma naszym zdaniem pełnoprawnego sensu w zastoso-waniu do poruszanego tematu. Zbyt duża następuje rozbieżność pomiędzy efektami użytej formy a wyrażonymi treściami. Sądymy ten film surowo, bo mamy w pamięci inny film, który moż-na opatrzyć mianem produkcyjnego, a bohaterem jego był także, jak i w „Środku drogi”, osobnik na posadzie dyrektorskiej. Tytuł tego filmu brzmiał „Uszczelka”.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI  
ANDRZEJ ZALEWSKI

## WYOBRAŹNIA DEMONICZNA

Filmy o sztuce przyzwyczyły nas nierzadko traktować twórcę i jego dzieło jako wyłonek artystycznej bu-chalterii. Źródłem podobnego stano-wiska był niewątpliwie fakt utożsa-miania produktu twórczości z twórczością w ogóle, zaś inwentarzewo-archiwalne nastawienie reżyserów dokonywało zazwyczaj reszty. Koń-czyło się więc na pieczęcie z podpisiem, która przystawiona pod dzie-łem księgowala oficjalnie jego ist-nienie dla potrzeb niezliczonych sta-tystyk, wykazów i rejestracji. Filmo-we wydawnictwa muzealna przysła-niały sobą właściwą sztukę tak da-lece, że każdy objaw prezentujący nowe możliwości w tej dziedzinie zwykliśmy witać z uczuciem radości i ulgi.

Film A. Papuzińskiego „Bykowi chwala” będący w swoim czasie re-welacją na skalę krajową posłużył się formułą, którą następnie utwory rozwinęły i przekształciły. Zwłasz-cza jeden z nich — debiut Piotra Andrejewa „Idzie mróz” poświęcony grafice Daniela Mroza — kryje w sobie zalety oryginalnej i płodnej w możliwości koncepcji dokumentalne-

go filmu o sztuce. Film ten wyróż-niony i nagrodzony na ubiegłorocz-nym Festiwalu Krakowskim oraz Za-kopiańskim Przeglądzie Filmów o Sztuce, nie jest żadną nowością. Ale już pierwsze obrazy wskazują na to, że mamy do czynienia z czymś nie-zwykłym. Samotna sylwetka ludzka w swym pochodzie przez świat pozostawia za sobą dziwne miejsca i krajobrazy: wąskie ścieżki wysoko-górskie, płaszczyny pokryte śnie-giem, słabo oświetlone żułki miej-skie, kamienice, w których schody obrazują także duchowe doświadcze-nia załamania poziomu, przekołu w inny wymiar, ruchu wstępującego — ku odkryciom i wjaśnieniom. Stylizacja na horror, cokolwiek ba-nalna w opisie, pełni tu jednak rolę nader doniosłą. Sylwetka podróżni-ka — artysty pokazana przez kamerę od dołu zdaje się wyrastać ponad oc-toczenie; ujęcie jej w chwilę potem z góry wbiła ją ponownie w płasz-czynę ziemi. Przemienność dwóch punktów widzenia bohatera (w jego roli występuje sam Daniel Mróz) ozna-cza tu wszakże jedno: że między podmiotem a przedmiotem zawiązał

się stosunek wzajemny oparty na ekspresji.

Jest to jakby synteza dwóch ukła-dów sprzecznych zwrotnie — wy-obrazni wcielonej w świat, świata od-zwierciadlającego wyobraźnię. Wy-obraznia Mroza ma zaś swe źródło w wątkach demonicznych: patroluje jej nadrealna niesamowitość i apok-alipczyczna groza. Wszystko to znaj-duje swe nader szczególne urzeczy-wistnienie ekranowe. Ciekawo jest, że prace artysty nigdy nie wybijają się na plan pierwszy; pokazane zo-stały oszczędnie, na zasadzie wtręt-ów montażowych. Ich pojawieniem się w filmie rządzi logika skojarzeń z obiektywną, pozaartystyczną rze-czywistością. Okazują ich zademon-strowanie jest więc powolne dojrze-wanie koszarnej wizji uwidocznio-ne w kształcie obcowania twórcy ze światem, aż do momentu, w którym kosmary te, wskrzeszone nagle i zmaturalizowane w jego pracowni, poczną mu zaglądać przez ramię. Lub inna scena, w której gra w szachy stwarza możliwość „przeplata-nia” rzeczywistych figur szachowych — imaginowanych. Gra ta rozstrzy-ga się już w sposób nowy: biały pot-wór po drugiej stronie szachownicy zmiata z niej figury jednym stanow-czym gestem dłoni.

Nowoczesna formuła filmu o sztuce zakłada zrozumienie twórczości jako szeregu napięć skondensowa-nych dopiero w finałowym produkcie działalności artystycznej. Twórczość rodzi się bowiem wskutek nagłych

zestknięć i subtelnych przenikań; wyla-nia się z rzeczywistości podmno-żanej przez wyobraźnię. Jest to prezentacja aktu twórczego w przeciwieństwie do reprezentacji poszcze-gólnych dzieł. A to nie to samo: two-żenie zawiera w sobie pomost cech odnoszących jednostkę do świata, jest dynamicznym projektem charak-teryzującym się rozciągłością w czasie. Pokazując artystę w procesie estetycznego opanowywania rzeczy-wistości i tworzenia, film Andreje-wa, wyraża kompleks spraw związa-nych z tzw. osobowością twórczą.

Nasuwa się tu jednak poważna wątpliwość: czy takie postawienie sprawy nie sprzyja nadmiernej psy-chologizacji tematu? Przeróżone spoj-żenie grafika wyzwała niszczycielskie moce drzące w przedmio-tach — jeszcze krok, a film ugrze-żnie w manierze ilustracyjnej, dosło-wnej przyczyźności. Odnoszenie po-jęcia „rzeczywistości” do sytuacji ar-tysty odbywa się z jednym zasadni-czym zastrzeżeniem: rzeczywistość owa musi mieć w dużej mierze cha-akter autonomiczny, a kształtowa-nie jej dokonuje się za pomocą ope-racji umysłowych wyszukujących przede wszystkim możliwości tkwią-ce w materiale. Sceny, które artystę zatapiającego natchniony wzrok w krajobrazie, kojarzą z gotowym kształtem przyszłego dzieła, zaliczyć trzeba do merytorycznie błędnych, choć wizualnie powabnych. Stąd też wyżyźność filmu Andrejewa zachowu-je swój dwuznaczny charakter: dzia-ła jako projekcja specyficznej wrażli-

wości i zarazem jako tej wrażliwo-ci przyczyna. Ta pierwsza cecha od-woluje nas do zjawiska, które Andre Bazin nazywał „unicestwie-niem rami dzieła malarskiego”. Chodziło o to, by z jednej strony obraz przekraczał swą własną przest-żnię, z drugiej zaś, by dzięki wzmoczonej intensywności jego ekr-anowego wyglądu jawił się jako twór umotywowany, wypracowujący wła-sną rację istnienia. Dzieło Mroza po-kazane od strony jego funkcjonowa-nia w kontekście pewnych wyobra-żeń narzuca przewagę swej niesamo-witej wizji. Przyczyny w takich ra-zach stają się mniej istotne choć nie da się ukryć ich charakteru: ilu-stracje kryzysu, rozpadu, katastrofy wpływają wszak z określonego kształtu kultury i jej uwarunkowa-ń. Jakże więc naiwne i anachroniczne brzmią na początku filmu wypowiedzi kawiarnianych starszuchów, wy-pózychonych jakby wprost z ekshu-matorni Felliniego, a domagających się prostoty i jasności w sztuce. Pro-stota jest możliwa, lecz nie w por-ządku sztuki, tylko w radykalnym powrocie do codzienności. W ostat-niej scenie obraz gwałtownie nor-malnie, a niezwykle opada ni-czym karnawałowa maska. Na ho-ryzonie po raz pierwszy pojawia się tramwaj — atrybut cywilizowanej wolności od zwidów i urojeń. Twór-ca oświadcza wtedy, że jest „sakra-menko zmęczony”.

ANDRZEJ ZALEWSKI

## RADZIECKIE KINO I INNI

Radzieccy twórcy filmowi, zaraz po upaństwowieniu kina w 1919 r., odrzu-cając niedobre dziedzictwo rosyjskiego kina przedrewolucyjnego, eksperymentu-jąc formę — sięgali coraz śmieliej do istotnej tematyki dnia codziennego, da-żyli do pokazywania prawdy w aspek-cie humanizmu i służby dla ludzkości. W swych poszukiwaniach dotykali spraw i losów ludzkich w przeszłości i teraźniejszości.

Ambicje intelektualne, oryginalna i nowatorska forma, naukowe podejście do konstrukcji dzieła filmowego w za-gadnieniach montażu, narracyjnej roli kamery, techniki gry aktorskiej — ce-chowaly od samego początku młodych eksperymentatorów radzieckich, którzy odrzucili gwałtownie starą „fabrykę” filmu na rzecz twórczego czynnika nowej socjalistycznej kultury.

Driga Wiertow, Lew Kuleszow, Gri-gorij Kozincew, Ila Traubierg, Wsiewołod Pudowkin, Siergiej Eisenstein, Siergiej Jukiewicz, Siergiej Gierasimow, Grigorij Aleksandrow i szereg in-nych z uporem i stanowczością, pełni młodzieńczego zapału i pasji torowali

radzieckiej sztuce filmowej drogę do socjalistycznych treści, wypracowywali formę i środki wyrazowe zdolne te treści ukazać w kształcie pojętym i zrozumiałym dla szerokiego grzesz bu-dujących nowe życie. Osiągnięcia nowych filmów radzieckich z lat 20 i później-szych, ich nowatorska forma i treść pełna głębokiego humanizmu — zna-lała silny oddźwięk zarówno u rodzim-nej widowni, jak i za granicą.

Zwykle analizujemy dzieło filmowe pod kątem jego zawartości tematycznej i zastosowanych w nim środków for-malnych do wyrażenia treści. Idealem jest pełna harmonia tych dwóch skład-ników dająca w rezultacie utwór fil-mowy o pięknej szacie estetycznej, rze-bokim humanizmie i realistycznych ak-centach. Jedno i drugie tak często ce-choowało wiele filmów radzieckich, do-strzegali je widzowie i krytycy filmo-wi, jeśli nie w całym utworach to w fragmentach. Pierwszym dowodem do-radości filmów radzieckich pod wzglę-dem treści i formy stały się dwa ut-wory z 1926 r.: „Pancernik Potiomkin”

Eisensteina i „Matka” Pudowkina — rychło zauważone przez krytyków za-chodnioeuropejskich i amerykańskich. Od-tąd przykłady twórczej pracy filmo-wców radzieckich i podejmowanej przez nich tematyki nabrzmiałej treścią rewolucyjną z wielkim ładunkiem pa-tosu i głębi humanistycznej — będą już stale cytowane. Do wyjątków chyba za-liczzyć należy te opracowania estetycz-ne z zakresu sztuki filmowej, które pomi-ają milczeniem filmy radzieckie.

Znany jest powszechnie fakt, że międzynarodowe jury, złożone z kryty-ków i historyków filmowych podczas Wystawy Światowej w Brukseli w 1935 r., w plebiscycie na 12 najlepszych fil-mów wszechczasów wytypowały na pierwszym miejscu „Pancernik Po-tiomkina” (100 głosów na 117 głosują-cych), na ósmym „Matkę” i na dzie-siątym „Ziemię” (A. Dowienki). A więc aż trzy filmy radzieckie na 12 wybranych znalazło się w czołówce światowej.

Niektórzy autorzy zachodnioeuropej-scy w swoich pracach estetycznych po-święcałi filmowi radzieckiemu całe rozdziały, jak np. Leon Moussinae („L'age en art du cinema”, Paris 1967), Roger Manvell (Film, London 1946), Ila-cala książkę, jak także Moussinae (Ci-nema sovietique, Paris 1928), Thorold Dickinson & Catherine De La Roche (Soviet Cinema, London 1948) i inne. W dziedzinie teorii filmu wybitni teo-retycy europejscy i amerykańscy po-święcili wiele uwagi radzieckim teo-riom na temat filmu. Oto teoretyk

włoski, Guido Aristarco (Storia delle teorie del Film, Torino 1960) poświę-ca cały rozdział Dziedze Wiertowowi i Lwu Kuleszowowi prezentując ich dzie-ła i ich poglądy teoretyczne na film dokumentalny, na montaż, grę aktorów itd. Omawia także poglądy na sztukę filmową Pudowkina i Eisensteina, stawiając ich obok wybitnych teoretyków kina B. Balassa i R. Arnheima. W ca-łej książce cytuje szereg odpowiednich sekwencji z filmów radzieckich powo-lując się w swej analizie estetycznej i rozważań artystycznych na dzieła Dowienki, Wiertowa, Kuleszowa, Wasi-liewych, Turina, Nielsena, Golowni.

Andre Bazin, francuski teoretyk fil-mowy, zwany „Arystotelesem kina” (Que'est-ce que le cinema? Paris 1958—1962) — twierdził, że do opracowań teo-retycznych podstaw sztuki filmowej włączyli się już w latach 20 sami twórcy: Kuleszow, Eisenstein, Pudowkin i ich prace stały się podręcznikami dla każdego twórcy filmowego, przetłuma-czone na wiele języków włożyły na rozwój postępowego kina Francji, Japo-nii, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Czechosłowacji, Meksyku, Niemiec, Brazylii i wielu innych państw.

Analiza warsztatu twórczego filmów radzieckich i ich walorami estetycznymi zajmuje się wielu badaczy zachod-nioeuropejskich i amerykańskich. Ana-lizując różne warianty w twórczym warsztacie reżyserów, operatorów i kom-pozytorów radzieckich stale cytują w swych opracowaniach poszczególne se-



Fot. Archiwum

kwencje i ujęcia filmów radzieckich, podkreślając ich twórczy i odkrywczy charakter i inspirującą rolę.

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI



DWANAŚCIE KRZESEŁ

„Dwanaście krzeseł” to tytuł klasycznej dla radzieckiej literatury, powieści satyrycznej Ilfa i Pietrowa. Nic więc dziwnego, że ostatnia, satyryczna kolumna „Literaturnej Gazety” nosi — reprodukowany wyżej — tytuł „Klub 12 krzeseł”.

Niedawno ukazał się w Polsce wybór publikacji satyrycznych z ostatniej kolumny radzieckiego czasopisma, opracowany przez Arnolda Mostowicza. We wstępie do tej książki kierownik działu satyry i humoru „Literaturnej Gazety” — Wiktor Wiesiołowski pisze: „W ciągu siedmiu lat istnienia wydrukowaliśmy dwa tysiące opowiadań i dziesiątych tysięcy krótkich notatek i aforyzmów. Z tych ostatnich mnie, jako kierownika działu, jeden szczególnie utkwił w pamięci: „Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje bez następstw”. (...) Na zakończenie chciałbym przypomnieć starą prawdę mówiącą o tym, że każdy uśmiech przedłuża życie o pięć minut. Dlatego też niech mi wolno będzie wezwać wszystkich czytelników tej książki, by jak najczęściej się uśmiechali”.

Bez następstw — oczywiście, co dodajemy już od siebie.

WŁADYMIER PASENIUK

ZAŚWIADCZENIE

Zaświadczenie brzmiało tak:  
„Niniejszym stwierdza się, że Ziemia jest okrągła. Zaświadczenie to wydaje się celem przedłożenia w miejscu pracy”.

To wszystko. Miejsce na podpis i pieczętkę.

— Okrągła? — spytałem.

— Może być owalna. Mnie to wszystko jedno. Najważniejsze, żeby było zaświadczenie, bo niektórzy nie wierzą. To znaczy nie wierzą bez podpisu i pieczętki.

Rozejrzałem się. — Jak to nie wierzą?! Nieprawdopodobnie. W wieku atomu i lotów kosmicznych... Kiedy nad głową człowieka krąży sputnik... Kiedy to samolot okrąży Ziemię w ileś tam godzin i minut... Przecież każde dziecko wie... Przecież w każdej większej czy mniejszej encyklopedii...

Interesant machnął tylko rękoma.

— Powiedziałem im słowo w słowo to samo. Ale oni nie wierzą na słowo. Chcą na piśmie.

Położyłem na stole stempel i wziąłem pióro do ręki. Jeszcze raz przeczytałem zaświadczenie. I zamysliłem się.

Interesant ciągnął dalej:

— Wyjaśnij mi to, co wykazał Kopernik, co potwierdził Galileusz, że co Bruno zginał na stosie... A oni kiwają tylko głowami. Powiadają, że teraz wszyscy są piśmienni i wszyscy wiedzą, że co Bruno został spalony. Ale bez zaświadczenia nie obejdzie się.

Trochę się zaniepokoiłem. Co innego wiedzieć, że Ziemia jest okrągła, a co innego napisać w tej sprawie zaświadczenie. I podpisać je. A jeśli ukaże się rozporządzenie, że Ziemia należy uważać za sześciątą? Kto będzie wtedy odpowiadał? Galileusz? Zresztą wiadomo, co on odpowiedział.

— Nie — powiedziałem stanowczo i zamknąłem poduszkę z tużem. — Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za to, że Ziemia jest okrągła. Nie jestem do tego upoważniony.

Interesant zmieszkał się.

— Jak to? Przecież sami powiedzieliście... Wiek atomowy... I sputniki... I wielkie, i małe encyklopedie...!

Kiedy odchodził, wyglądał tak nieszczerliwie, że uważałem za słuszne powiedzieć mu coś na pocieszenie.

— Nie traccie nadziei. Przecież są jeszcze wyższe instancje. Spróbujcie gdzieś indziej. Bądźcie dobrej myśli...

W Nowińsku niedawno otwarto nowy jubilerski sklep samoobsługowy — Jubilersam. Dyrektor unikalnej placówki handlowej, Borys Teofanowicz Przeciagły, zechciał przyjąć naszego korespondenta i udzielić mu odpowiedzi na niektóre pytania:

— Czy nie uważa pan, panie dyrektorze, że ten śmiały eksperyment, ta nowa forma sprzedaży wyrobów jubilerskich, jest jeszcze jednym wielkiej wagi dowodem zaufania, jakie pracownicy aparatu handlu okazują klientom?

— Tak, uważam, że ta nowa forma sprzedaży wyrobów jubilerskich jest istotnie...

— Oczywiście! Najpierw autobusy bez konduktorów, następnie sklepy spożywcze bez ekspedientów i wreszcie — Jubilersam! Czy nie sądzi pan, panie dyrektorze, że Jubilersam to nie tylko nowa forma sprzedaży, ale również nowa forma wychowania nowego gatunku klienta, wychowania za pomocą pełnego zaufania?

— Ma pan zupełną rację. Nasza załoga również uważa, że podstawowym zadaniem naszego sklepu jest właśnie wychowanie. I właśnie klienta!

— Innymi słowy, Jubilersam to niezwykła placówka handlowa, ale zarazem kuźnia nowych kadr klientów?

— Bez dwóch zdań!

— No, a jak wygląda techniczne wyposażenie sklepu? Słyszałem, że wprowadził pan szeregi nowinek technicznych umożliwiających podniesienie kultury obsługi?

— Tak, w Jubilersamie wprowadziliśmy cały szereg... Ale przede wszystkim zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, abyśmy mogli zaufać klientom, a klient nam.

— Na przykład?

WŁADLEN BACHNOW  
JUBILERSAM

— Na przykład po oddaniu ubrania do szatni, klient nie dostaje żadnego numerka, ponieważ szatnia zarządza móg elektronowy, który nigdy nie pomyli płaszczy, albo czegoś tam innego.

— To nadzwyczaj ciekawe! Więc przed wejściem do Jubilersamu klient zostawia w szatni swoje wierzchnie okrycie?

— Tak, przed wejściem do Jubilersamu klient zostawia w szatni swoją wierzchnią odzież. I spodnią również.

— Przepraszam, ale w czym wasi klienci chodzą po, jeśli można tak powiedzieć, sklepie?

— Nasi klienci, chodzą po sklepie w, jeśli można tak powiedzieć, specjalnych, które inny móg elektronowy wydaje im na czas przebywania w naszej placówce handlowej.

Następnie, przy opuszczaniu placówki, klienci zwracają piżamy, otrzymują swoje rzeczy z powrotem i po przejściu rewizji osobistej bez przeszkód opuszczają Jubilersam. Oczywiście w wypadku jeśli piżamy nie ulegną poważniejszemu uszkodzeniu.

— Uszkodzeniom? Ale co

nie jest dowodem zaufania?

— Rozumie się!

— Oprócz specjalizacji klient otrzymuje przy wejściu specykoszyk, do którego wkłada wybrane towary. Wmontowane w koszyk nadajniki odnotowują każdy zakup i posyłają sygnały do elektronicznego ośrodka obliczeniowego. Komputery opracowują otrzymaną informację i kiedy klient podchodzi do elektronicznego kontrolera, tam już czeka nań gotowy rachunek. Tak to wygląda.

— Jak to wszystko prosto i szybko u was przebiega! I co najważniejsze bez żadnych kolejek!

— Słusznie pan zauważył. Kolejki u nas są tylko do gabinetu rentgenologicznego.

— Przepraszam, dokąd?

— Do rentgena. No tam, gdzie prześwietlają klientom zdjęcia przed opuszczeniem sklepu...

— I ostatnie pytanie — jak! asortyment towarów proponuje klientom Jubilersam?

— No cóż, obecnie, kiedy dopiero opanowujemy technikę i zaczynamy wychowywać klientów, oferujemy kupującym: konserwy warzywne, soki owocowe, marchew porcjowaną, cebulę, ogórki kiszone i tak dalej... No, a jak opanujemy aparaturę i wychowamy klientów, wprowadzimy do sprzedaży brylanty i diamenty! A więc serdecznie zapraszamy do Jubilersamu!

Drużyna „Dysza” z miasta Zarzucąjska spotkała się niedawno na boisku przeciwnika z piłkarzami zrzeszenia sportowego „Dmuchawa” z Archarowa. Mecz zaczął się na długo przed gwizdkiem sędziego.

Na dwie godziny przed wyznaczonym terminem spotkania, do hotelu, w którym stanęli zarzucąjszczanie, wszedł jakiś mężczyzna. Mimo nagabywania przez dyżurną piętra człowiek ten zachował incognito. Siedział w przedpokoju zajmowanego przez trenera gości i powiedział wprost od progu.

— Dwieście er dla każdego waszego zawodnika za nierozegrana.

— Spłynął stąd — zwiędle odparł bywały trener.

— Na cóż... — melancholijnie powiedział zasmucony anonim.

— W takim razie całą kwotę będę musiał oddać sędziemu.

W tym momencie trener zrozumiał, że mecz praktycznie został już przegrany, teoretycznie, jednak można jeszcze spróbować walczyć o zwycięstwo.

— Dwieście pięćdziesiąt — powiedział spoglądając męźnie na tabelę rozgrywek ligowych.

...Mecz rozpoczął się w dobrym tempie. Zarzucąjszczanie od samego początku przechwycili inicjatywę we własne ręce. Podeszła jednego z takich kontraktów arbitra nieoczekiwanie włączył się do akcji napastników i zarządził rzut karny do bramki gości. Stadion wył jak czterdzieści tysięcy diabłów.

— Dycha za to — że nie trafisz! — krzyknął bramkarz Zarzucąjska do kapitana archarowiaków, który zamierzał eg-

zekwować rzut karny osobiście.

— Dwadzieścia pięć — odrzekł pierwszy strzelec gospodarzy.

— Kola, mięże sumienie!

— Boria, to chwyt poniżej pasa!

— To powiedz chociaż, w który róg będziesz strzelał — poprosił bramkarz.

MARK ROZOWSKI  
STARYM SPOSOBEM...

— To będzie z narzutem — wyjaśnił napastnik. — Świeca w lewy dolny kosztuje psi grosz. Cztery dychy i masz to z głowy. Piękna cena jak na taki mecz.

— Zasuwał!

— Mogę ci wlepić i w dziwiątkę. Ale to będzie drożej kosztowało.

— Umowa stoi. A ile sobie liczysz za dziewiątkę? Przydałaby mi się robinsonada pod publiczność. To ma swój wygląd.

— No, ile. Sam podlicz: trójka za rozbieg, za zamach piętala, dycha za nerwy, dalej: koszty własne za scentrowane oko, reszcie drużyna za przestój... plus amortyzacja butów... Razem co najmniej wypadnie z półtorę stów!

— Ach, ty snajperze! — wrzasnął bramkarz. — Strzelaj bandyto!... Kop, ty w brazylijską technikę szarpamy!

Najważniejszy archarowiak wziął rozbieg i... strzelił w słupki. Publiczność na trybu-

nach jęknęła i zaczęła gwizdać.

— Błagier!... Na przyszłość nie zwracaj mi głowy! — szyderczo powiedział bramkarz.

Wynik spotkania do przerwy pozostał bezbramkowy. W drugiej połowie meczu zarzucąjszczanie przeszli do obrony, archarowiacy natomiast zaczęli nagle grać na pełnych obro-

tach, według nowego cennika: za podanie główką w kierunku budy przeciwnika — osiemdziesiąt kopiejek, lewą nogą — rubel dwadzieścia, „świderek” — dwa czterdzieści sześć po potrąceniu podatku za bezdziałność, rzut z autu — dziesięć kopiejek, rzut różny — dwie obligacje pożyczki trzyprocentowej.

Trener drużyny „Dysza” nie wiedział, jak tu dać godny odpór. Jego zawodnicy grali najwyraźniej poniżej swoich możliwości, system „cztery-dwa-cztery”, który dawał im miżerne osiągi średnie: cztery doścoja do piłki — dwa ruble. Ale piłka jakoś ani rusz nie mogła trafić do bramki...

Aż nagle w zarzucąjszczanach zaszedł przełom. Ich doświadczony trener jak by wymienił wszystkich graczy.

— Kawalerka z wszystkimi wygodami w śródmieściu! Gaz,

telefon! — krzyknął ze swojej ławki.

Była to fajna broń, posunięcie taktyczne, na którego zastosowanie trener nie mógł się zdecydować niemal do samego końca meczu.

— Samochód, żiguli!... Z zawodowym prawem jazdy!

Przed bramką „Dmuchawy” również powstała gorąca sytuacja.

— Austriacki jadalny, wyścielane krzesła! Premia gratis — trzy jugosłowiańskie piuy!

Obrona gospodarzy zresztą była w szwach.

— Dżiny angielskie po pierwszym praniu, ponadto kąpielówki na futrzanym podbiu, nie do zdarcia, obustronne! Zarzucąjszczanie dosłownie roznieśli zawodników „Dmuchawy”.

— Słoneczne protuberancje. W brykietach. Jedna sztuka na tydzień, przy każdej wypłacie!... No?... Komu? Komu?...

Do końca spotkania pozostała już tylko sekunda. I nagle stało się to, co się stać musiało, piłka nożna jest bowiem gra, w którą trzeba grać aż do samego końca. Piłka jakimś cudem trafiła w but obrońcy archarowiaków, odbiła się i znalazła w siatce. Stadion zamart z żalości. Gospodarze przegrali mecz w stosunku bramek 0:1.

— Stawiasz pół litra! — powiedział do nieszczerliwego piłkarza „Dmuchawy” uradowani zawodnicy „Dyszy”.

— A nie wy? — filuternie zaprztał jeh archarowiak.

Wieczorem odbył się bankiet. Obie drużyny pokazały na nim, co naprawdę potrafią.

ROGI I KOPYTA

СТЕНГАЗЕТА КЛУБА КОНЫТА

TRZEBA SIĘ DOKSZTALCĄĆ

Dyrektor Przedsiębiorstwa

Budowlanego nr 8 nie potrafiwszy rozoznać się w rysunkach planów budowlanych, zamiast domu mieszkalnego z garażami na ulicy Długiej, postawił sobie dwupiętrową willę na brzegu rzeki.

TRUDNA OPERACJA

Niezwykle skomplikowanej operacji dokonał znany chirurg tutejszego szpitala — A. J. Goliwin. Dziesięć litrów alkoholu wymienił na tylny most do samochodu „Wolga”, a na-

stępnie most ten wymienił na wał korbowy do „Zaporozca”, a wał korbowy „Zaporozca” wymienił wreszcie na tak mu potrzebne sprzęgło do „Moskwicza”.

SPRAWY KADROWE

Dla „Teatru Jednego Aktora”, według oficjalnego planu, przewidziane są następujące etaty: głównego księgowego, suflera, elektryka, reżysera, scenografa, kostiumologa, kierownika do spraw gospodarczych, garderobianej oraz dwóch pracowników fizycznych.

ZE SPORTU

Srodkowy napastnik kałuskiej „Strzaly” w interesującym pojedynku z bramkarzem „Spartaka”, zdobył trzygólowe mieszkanie w nowym budownictwie.

RADOSNE WYDARZENIE

Radosne wydarzenie nastąpiło w życiu A. C. Kambulina. W ubiegły poniedziałek naprzeciwo domu, w którym otrzymał on nowe mieszkanie, otwarto budkę z piwem.

LADNY WYNIK

Ladny wynik osiągnął niejaki C. N. Smolukin. Dodając codziennie do dwóch kilogramów cukru pewną ilość drożdży, otrzymał dwa lata.

NAUKA — PRZEMYSŁOWI

Przeprowadzone przez pewien instytut naukowy doświadczenia wykazały, że w kufku piwa, górna granica płynu znajduje się 10 milimetrów poniżej brzegu tegoż kufka. Instytut zaproponował więc, by wyprodukować doświadczone kufki do piwa o 10 milimetrów niższe. Okazało się, że wprowadzenie tego pomysłu w życie pozwolił zaoszczędzić dziennie 8337 ton tego tak deficytowego artykułu, jakim jest piwo.

NICZEGO NIE MOŻNA PRZEWIDZIEĆ

Emerytka A. Zulewa zwróciła się telefonicznie do administracji domu z prośbą o zreperowanie zepsutej instalacji wodociągowej. Rzecz nieprawdopodobna, ale w godzinę później zjawili się hydraulik i wodociąg naprawił.

WALKA Z NIEDOCIĄGNIĘCIAMI

Wesoły stukot młotków, pisk pił i hebli rozlega się z nowego osiedla Kałuszni. To właśnie wprowadzający się lokatorzy wzięli się do usuwania braków w swoich nowo otrzymanych mieszkaniach.

NOWY OBYCZAJ

Interesujący obyczaj wprowadzili mieszkańcy miasta Arbatowa. Nie czekając, aż uczynią to młodszy wiekiem, starsi pasażerowie nawzajem ustępują sobie miejsca w tramwajach i autobusach.

DZIWA KOZA

We wsi Mławki kołchoźnik Suiwajew hoduje zwykłą kozę. Nie daje ona mleka, jest zła i wszystkich bodzie. Sąsiedzi Suiwajewa nazywają ją „koza nostra”.

NAUKA POMAGA PRAKTYCE

Robotnicy Lichoniejewskiej Fabryki Przetworów Mlecznych odkryli nową zupełnie odmianę prawa Archimiedesa. Stwierdzili oni mianowicie, że jeśli do twarogu dodać kilka wiader wody, zarobek dodatkowy wyniesie dokładnie tyle, ile wynosi wartość twarogu usuniętego przez wodę.

PORADY DLA MAJSTERKOWICZÓW

Jeśli macie pod ręką dwa dziesiąta gwoździ, młotek, dwa bażanty, nowy numer „Literaturnej Gazety” i miękki krzesło, to należy przedmioty te wykorzystać w następujący sposób: dziewczynę należy oczyścić z pierza i oddać żonie do przyrządzenia. Gwoździe należy odłożyć do przeznaczonego dla nich pudełka, a młotek obok gwoździ. Następnie należy wziąć do ręki gazetę i zabrać się do czytania, siedząc spokojnie w miękkim fotelu.

Przekłady:  
WITOLD DĄBROWSKI IRENA LEWANDOWSKA  
ARNOLD MOSTOWICZ

Kiedy obiad miał się ku końcowi, stanął przede mną kelner i zapytał po polsku:

— Co ty jeszcze chcesz, kolegowski?

Byłem zaskoczony, podobnie zresztą jak Amerykanie, którym wydawało się chyba, że zaczynamy dialog w języku arabskim. Kelner nie wyglądał na studenta slawistyki. Miał typowo arabską twarz, czarne kręcone włosy i oczy o barwie przejrzystych śliwek, toteż trzeba było odrzucić wszelkie wredne przypuszczenia...

— Powtórz to jeszcze raz — powiedziałem.

— Co?

— Nic. Daj herbatę.

— Normalnie. Ja ci zaraz przyniosę herbatkę.

No i przyniósł. Postawił, mamrocząc coś w stylu zachodniego Targówka.

— Byłeś w Polsce? — zapytałem.

— Nie.

— To gdzie się tego nauczyłeś?

— A tu. Przychodzą polski inżynier, polski artysta, jedna polska dziewczynka poznałem... — uśmiechnął się jakby go kto posmarował miodem.

— A znasz może adres tej dziewczynki?

— Nie znam, nie znam! — zamach rękami. I zaraz pojednawczo dorzucił: — Może być coś jeszcze chciał, Lubański kolegowski?

Wychodząc wcisnąłem mu do ręki funta, bo przecież nie po to uczył się polskiego, żeby na tym tracić. I wtedy, bez ironii, doznałem prawdziwego wzruszenia, albowiem kelner, łupiący bez skrępowań wszystkie amerykańskie stoliki, zwrócił mi bakszysz ze słowami:

— Schowaj pieniąż, kolegowski. Ja ci tę herbatkę dałem z serca.

1.

Wrócił się do autokaru i zaczęliśmy objazd po najstarszym mieście świata. Nie mam zamiaru szpikować reportażu faktami z podręczników i folderów, wspomnę więc tylko, że już trzy tysiące lat temu Damaszek był stolicą wielkiego państwa aramejskiego. Potem (w Damaszku i okolicach) następowały kolejno: podboje egipskie, satrapia perska, era Aleksandra Wielkiego, monarchia Seleucydów, kadencja rzymska, bizantyjska, arabska, saldziejska, łancuch wypraw krzyżowych, najazdy Mameluków, Mongołów, Turków, wreszcie — od tysiąca czterechset dwudziestego drugiego — terytorium mandatowe Francji; 41 — niepodległość; 45 — przyjęcie do ONZ; 46 — wycofanie obcych wojsk; 51—54 — rządy dyktatorskie A. Sziszakiego, 58—61 — unia z Egiptem, przewrót polityczny, proklamowanie Arabskiej Republiki Syryjskiej, zbrojne zdobycie władzy przez partię Baas; 1966 — kolejny zamach stanu i przejęcie władzy przez postępowe skrzydło tej partii; 67 — napad Izraela i utrata Wzgórz Golan; 69 — kolejny wojskowy zamach stanu; 73 — nowy etap wojny z Izraelem, i to byłoby w zasadzie wszystko.

Jednakże historia Damaszku ciągnie się także w drugą stronę, aż po SIÓDMY DZIEŃ STWORZENIA.

Tutaj, wedle niesprawdzonych wieści, urodził się Adam i Ewa.

Tutaj, w rajskim ogrodzie, nasza pramatka uwiiodła naszego praojca, robiąc nam wszystkim wielkie kuku.

Tutaj Kain zabił Abła i pogrzebał go na damasczeńskim wzgórzu.

W pobliżu, na szczycie Hermon; widywano Abrahama, a w innym, dzikim rejonie Antilibanu Noe zbudował arkę i zapewnił nam przetrwanie.

Ponadto w Damaszku...

Ale zaraz! Autokar zatrzymuje się przed meczetem Omayadów. Syryjski przewodnik o twarzy farsowego aktora, gadatliwy jak nieboskie stworzenie, wprowadza nas do obszernego pomieszczenia. Mężczyźni siadają na krzesłach i zdejmują buty. To normalne. Przed każdym meczetem zdejmujemy się buty. Tyle, że kiedyś można je było zostawić na progu i nikt nie ruszył, a teraz, i to nie tylko w Syrii, lepiej chwycić je w łapę i wnieść do środka albo zostawić pod opieką płatnego cerbera...

Kobiety też już stoją na bosaka, niecierpliwie się trochę, a później niepokojąc, bo przewodnik rozkazuje im sięgnąć zakłady. W ścianie uchyla się nagle jakaś zasłona; wychodzi kilku czcigodnych starców w ramieniu stos rytualnych szat. Amerykanki próbują zachować spokój, lecz trzęsą się ze strachu, kiedy przewodnik pomaga im wciągnąć przez głowę te pomure, czarne, spadające na stopy melaje. Po chwili nie ma już Amerykanek, tylko stado wron. Zakryte ręce, zasłonięte kirem oczy... Przydałoby się zrobić zdjęcie, ale jak wszędzie tam, gdzie kończy się zabawa, aparaty zostały w depozycie.

Człapiąc po kamiennej posadzce wchodzimy na dziedziniec meczetu, który jest dwa razy większy od słynnej Aya Sofya w Istambule. Tu, przy marmurowym obelisku, formują się pielgrzymki do Mekki i Medyny: miast, w których urodził się i umarł Mahomet. Każdy muzułmanin musi przynajmniej raz w życiu odbyć taką wycieczkę, co automatycznie daje mu tytuł Hadża. Ale droga do celu jest daleka i znojna, no i czasy —

nawet w mrocznym świecie Islamu — trochę się zmieniają, toteż już w pięćdziesiątym szóstym roku kilka państw arabskich (mając na względzie wygodę pańników, którzy ciągną łądem i morzem do grobu proroka, a jest ich co sezon grubo ponad pół miliona) postanowiło zlecić Polsce odbudowę kolei hedżańskiej, która bieglą-

nastyczne z precyzją dobrze wyszkolonego zespołu — siadają na podwiniętych nogach, prostują się albo zginają kark, od czasu do czasu walą czołem w podłogę i ktoś z tyłu widzi wtedy tylko mrowie przekrzywionych pięt — bosych albo przyobleczonych w rozciągnięte skarpetki. Muezin, zwrócony do wiernych

ciom — jeden dłużej w nogach, inny czyści paznokcie, młody człowiek o ascetycznej twarzy ma przed sobą stertę broszur i wkuwa coś pod nos, kilku żebraków wyzionie chyba za chwilę ducha, pewien grubas przysnął pod kolumną, a pewien żołnierz wbił pożądlivy wzrok w kolebiejące biodrami Amerykanki.

Podeszliśmy do usytuowanego w środku meczetu grobowca, który składa się z marmurów, stał i pancernego szkła. Gadatliwy przewodnik wciągnął drugi bieg i oto katolicy doznali szoku, albowiem za szkłem, w trumnie pokrytej doszczętnie wersetami z Koranu, spoczywał Święty Jan Baptysta. Zaraz też nastąpił kolejny szok: okazało się, że trzy strzeliste minarety Omayadów noszą imię Jezusa Chrystusa.

W Turcji, Syrii i Libanie relikwie chrześcijańskie znajdują obecnie opiekę. W Efezie, gdzie podobno dokonała żywota Najświętsza Maria Panna, władze tureckie nie tylko tolerują pielgrzymów, ale im pomagają. W Topkapi (Istambuł) jest bacznie strzeżona sala, gdzie oprócz włosów z brody Mahometa oraz Jego zębów, strojów, nakryć głowy, oryginalnych pism i odcisków stopy z ewidentnym nagiotkiem na pięcie — znajdują się w szczerolotej oprawie ramię Jana Ewangelisty.

Islam jest drugą religią świata. Liczy obecnie około trzystu pięćdziesięciu milionów wyznawców, z czego 270 milionów żyje w Azji (Mniejszej, Środkowej, także w Indiach i Chinach), 70 milionów w Afryce (przede wszystkim Północnej), a reszta na innych kontynentach. Islam jest religią mono teistyczną; Allah — Bogiem, Mahomet — Prorokiem. Dniem świątecznym jest piątek. Poza przynajmniej jedną w życiu podróżą do Mekki i Medyny, mahometan obowiązuje: obreżanie, przestrzeganie postu, wspomaganie biednych oraz codzienna modlitwa o pięciu różnych porach. Na wzór i podobieństwo kościoła chrześcijańskiego, muzułmanie również dzielą się na wiele skłóconych sekt i odłamów, że wliczyć tylko Szuyitów, Sunnitów, czy też najbardziej ortodoksyjnych Wahabitów.

W niektórych krajach, jak Egipt, Algieria, Liban, Syria, Koran daje żyć, to znaczy — przymyka na wiele spraw oko. Gorzej jest w Libii, a najgorzej w Arabii Saudyjskiej. Głowy tych państw — niekoronowany Kaddafi i koronowany Fajsal — mają na punkcie Koranu dużego szmergla, co jest nieszczęściem tym większym, że przecież są to narody bogate... Co robić z pieniędzmi, skoro nie wolno ani pić, ani palić, ani śpiewać za często, ani tańczyć, ani przesadnie się obżerać, ani kochać, ani modnie ubierać, ani golić. Fajsal mówi: Allah po to dał człowiekowi brodę, żeby mu służyła ku ozdobie. No i jego wierni, siedzący na złocie poddani, odkładają brzytwy i żytelki, a jak który się sprzeciwi, to i zapłacze. Kaddafi jest urodzonym żołnierzem i lubi trzymać swoich ludzi w namotach, natomiast Fajsal — ubrany zawsze w białą długą abaję, z twarzą osłoniętą płótnem, z agalem na czubku głowy — przypomina średnio-wiecznego mnicha. Trudno się dziwić, że kto może, ucieka spod opiekuńczych skrzydeł tych (nienawidzących się nawzajem) władców do Europy albo do bardziej pobłażliwych krajów arabskich, gdzie czekają na człowieka różniczne radości życia.

Podobnie jak Bejrut, Damaszek ma swoje enklawy miłości. Tu i ówdzie można kupić pornografię, zapalić „podrasowaną” narkotykiem fajkę, napić się piwa, ale tylko piwa, gdyż mocniejszego alkoholu arabska głowa nie ścierpi. Jakby nie brać — z Koranem czy bez — Arabowie są pod względem używek rasą porządną.

2.

Meczec Omayadów graniczy z ogromnym, pokrytym dachami bazarom Souk el Hamydieh. Kupić tu można wszystko, ale trzeba mieć na to czas. Syryjski przewodnik popęda, pogania — tu kościół, tam zamek, tu jakieś ruiny, tam plac; wszystko na



Fot. Archiwum

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# TWARZĄ DO MEDINY



Fot. Archiwum

by z Damaszku, poprzez ziemię syryjską i jordańską, do Arabii Saudyjskiej. Plany te zostały storpedowane przez Amerykanów i polskie ekipy musiały powrócić do kraju. Stany Zjednoczone robiły wszystko, aby zachować wpływy na Bliskim Wschodzie i przebiły polską ofertę, wbrew intencjom Wielkich Muflich Jeruzolimy, Jordani, Egiptu i Syrii.

Nie wiem, czy któryś z amerykańskich turystów zna tę historię. Ale nie to zapładnia moją wyobraźnię, kiedy stoję na dziedzińcu Omayadów. Przecież w powodzi sensacyjnych reportaży i filmów nigdy jeszcze nie trafił się materiał z pielgrzymki do świętych miast. Nie dokonał tego żaden z szalonych amerykańskich i francuskich dziennikarzy, nie puścił się na to syn diabła, Egon Erwin Kisch. Był podobno jakieś wariackie próby PRZENIKNIĘCIA — ktoś przebrał się, ktoś ukrył na piersiach aparat, magnetofon, ktoś lądował na spadochronie... Panie, święcie nad ich duszą!

Wnętrze meczetu, który jest konglomeratem stylów sakralnych, albowiem w różnych epokach służył różnym Bogom — może konkurować z boiskiem piłkarskim, tyle że zamiast trawy pokrywają go dywany.

Niejednokrotnie obserwowałem już modły muzułmanów. Jest to wzruszający teatr pokory. Stojąc w zwartych i równych szeregach za muezynem, który deklamuje monotonnym głosem werset z Koranu, powtarzają za nim poszczególne figury gim-

plecami, wpatruje się w maghreb (względnie będące odpowiednikiem ołtarza, lecz pozbawione jakichkolwiek personifikacji), potem jednak pokazuje twarz, i wierni łamią szyki, zaczynają się rozbiegać, szukać ustroicznych miejsc, żeby kontemplować, bić pokłony i modlić się indywidualnie, czemu także towarzyszy wiele dziwnych pów. Podpierają uszy kciukami, ścierają z oczu urojony pył grzechu i zaślepienia, wyciągają przed siebie dłonie i czytają z nich jak z księgi, kołysząc się rytmicznie na boki, drobia palcami czarne lub białe koralki, poruszając bezgłośnie ustami.

Kiedy muezyn wychodzi, zaczyna się część towarzyska. Mężczyźni witają się, pozdrawiają, wypytują o zdrowie bliskich, umawiają na kawę w domu lub herbatę w kawiarni. Widać, że nie spieszą się do żadnych zajęć. Luz, luz i swobodne spojrzenie na Wschód! Wolno teraz siedzieć tyłem do maghrebu, albo leżeć na boku, wolno uśmiechać się i opowiadać dowcipy — byle nie polityczne, bo religia nie kłóci się z państwem, a dokoła pełno konfidentów.

Kobiety i dzieci nie biorą udziału w modłach, ale są dni, kiedy wolno im wejść do meczetu i przycupnąć na stronie. Tu, u Omayadów, wydzielono dla nich za barierką specjalne kojce. Ugwarzają, plotkują nieśmiało, natomiast panowie życia i śmierci oddają się najróżniejszym zaję-

zasadzie — „Jeśli dziś piątek, to jesteśmy w Syrii”, więc Amerykanki zaczynają się burzyć.

Jedna mówi, że musi kupić znaczki i karty, ale przewodnik macha pogardliwie ręką.

Druga domaga się toalety.

Trzecia krzyczy:

— I'd like to have something to drink!

I znowu krążymy bez wytchnienia po mieście, którego chciałoby się dotknąć, a które ciągle przed nami ucieka. Jakies odpryski wrażeń — gromada ślepców pod murami, chłopak czyszczący z namaszczeniem żołnierskie buty, brzdąc okładający pięściami starszą od siebie dziewczynkę, kobieta o karku wygiętym w pałąk, tak że kiedy idzie wsparta o kostur, ciągnie długie, siwe pasma włosów po zakurzonej chodniku.

Zatrzymujemy się wreszcie przed niewielkim domem w ciasnej ulicy.

— Tu mieszka sławny człowiek — mówi przewodnik.

— A co on robi, ten człowiek? — pytają bez większego zainteresowania Amerykanki.

— On robi dywany, narzuty, chustki oraz najrozmaitsze pamiątki, które możecie tanio kupić i obdarować później znajomych czy krewnych.

Wchodzimy na podwórko, które jest właściwie ogrodem. Stoi kilka ławeczek, widać jakieś drzewka, kwiaty. Gospodarz przykłada rękę do serca i zaprasza nas do jednego z pomieszczeń. Przyglądamy się prymitywnym krosnom, na których powstają te wszystkie dywany, narzuty i chusty. Towar może i ładny, ale nabywców brak, toteż przewodnik, który jest na pewno krewnym gospodarza (tu każdy przewodnik ma swojego krewniaka i ściga mu potencjalnych nabywców), zmienia scenę i niebawem nasze oczy zostają porażone blaskiem szlachetnego metalu. Ale złoto jest dwa razy droższe niż w Libanie, a pierścionki i bransoletki ze srebra mają ceny nokautujące. Trzeba zatem jakoś nas skruszyć...

Gospodarz znika za drzwiami i wraca po chwili z tacą, na której stoi kilkanaście naparsteków herbaty.

— Ahlan Wasahlan! Ahlan Wasahlan, my friends! — mówi głosem najszczerzej miłości. I podstawią nam tacę pod nos.

Ja tam się boję, więc pytam przewodnika:

— Co to znaczy Ahlan Wasahlan?

— Welcome — odpowiada przewodnik. — A jak to będzie po polsku?

— Po polsku to będzie: Witajcie.

Bardzo ładnie! — mówi przewodnik. — A jak tam jest w ogóle w tej Polsce?

— W Polsce — mówię — jest dobrze!

— W Syrii też jest dobrze — mówi przewodnik. I mrużąc szelmowskie oczy, dorzuca: — Ale w Ameryce ludzie także nie umierają z głodu, dobrze mówię...

— Tak jest.

— No to zaczekaj chwilę. Załatwię tu z nimi parę spraw i napijemy się herbaty.



# KORESPONDENCJA z ZAGRANICĄ—JAPONIA

Wejście do portu odbywa się zawsze tak samo. Najpierw statek rzuca kotwicę na redzie, to znaczy często tak daleko od brzegu, że ledwo widać jego zarysy. Towarzyszy temu ogromny hałas. Nad wiatr kotwicę unoszą się tumany rdzawego pyłu. Ale to nie absorbuje zbyt długo naszej uwagi. Ruch w zatoce jest tak wielki, że nie sposób skoncentrować się na jednym.

Stoimy więc na redzie portu w Kobe. Jakis wodolot śmiga obok nas na niesamowitych, sterzących pionowo z wody łapach. Brzegu właściwie nie widać, jest zasnuty błękitną mgiełką smogu, zagęszczonego jeszcze dymami ulatującymi z jakiejś wielkiej huty. Brzeg jest zabudowany gęsto — zatłoczony, zadymiony. Jego kontury rozmazują się, są przez to tajemnicze, przykuwające uwagę. Z dala majaczy konstrukcja ogromnego mostu przerzuczonego przez zatokę. A kiedy po kilkudziesięciu minutach oczekiwania podplyniemy do brzegu, będzie można popatrzeć na rozległą panoramę miasta. Jak wszędzie w wielkich aglomeracjach miejskich tego kraju, dominują w krajobrazie wielkie dzieła inżynierskie. Szczytami gór widocznych na horyzoncie przebiegają potężne linie wysokiego napięcia. W nocy brzeg jarzy się setkami tysięcy, milionami świateł, wśród których zwracają uwagę pulsujące purpurowo latarnie oznaczające szczyty kominów, wielkich pieców, wież i mostów.

Kobe to „Wrota Japonii”. Tędy właśnie wychodzi w świat 40 procent japońskiego eksportu, który powoli ten świat zalewa. Już teraz bowiem, na przykład, większość aparatów fotograficznych sprzedawanych na terenie Stanów Zjednoczonych AP wyprodukowano w kraju „Kwitnącej Wiśni”.

Podziwiamy właśnie jak do wielkiego japońskiego kontenerowca, który ma na burcie ogromnymi literami wypisaną nazwę, male zwinne holowniki podpychają pływające platformy załadowane równiutko ustawionymi dwudziesto- czy czterdziestotonowymi pojemnikami opatrzonymi znakami wielkich japońskich firm. Statek własnymi dźwigami ustawia je w ładowniach. Operacja przebiega bardzo sprawnie i zanim zdaliśmy przebyć odległość 2—3 kilometrów od brzegu, platforma zawierająca dwa dziesiąta kontenerów została rozładowana...

O — hayo gozaimas! — Dzień dobry! Właśnie wstało słońce. Jesteśmy 500 km od Tokio. Holowniki z aptekarską dokładnością wypychają „M.S. Chabarowski” do kobańskiego Port Terminal. Obsługa holownika ubrana jest w czyste kombinizony, sternik i jego pomocnicy pracują w białych rekawiczkach, wszyscy mają na głowach czyste, białe helmy.

Jeszcze z perspektywy zatoki widać, że to liczące 1,3 mln mieszkańców miasto po prostu dusi się spychane ku morzu odległymi o 3—4 km od brzegu górami. Nic też dziwnego, że miasto rozwija się w kierunku... morza. Jest to sposób w tym wyspiarskim, morskim kraju powszechnie stosowany i to z reguły na ogromną skalę. Po prostu łączy się brzeg morza z górą systemem taśmociągów i wspinuje górę w baseny budowane uprzednio z betonu i stali. Gdy wchodziliśmy do portu Kobe pokazywano nam właśnie ogromne polacie portu — ogromne płaszczyzny zastawione dziesiątkami dźwigów przenoszących pudła kontenerów i ustawiających je w równe przymy. Fantastyczne. Na pozór nie widać tu ludzi. Dźwigi sprawiają wrażenie rozumnych olbrzymów. Składowiska kontenerowych pudeł ciągną się jakby bez końca i zacierają w mgłach... Prace nad rozbudową portu Kobe

szyny, która łatwo może być także koparką, albo spychaczem. Ludzie nie muszą wyjącej wściekle maszyny trzymać w rękach, nie muszą być szarpani, wibrowani, wstrząsani.

Z górnego pokładu naszego statku przechodzimy od razu na drugie piętro kobańskiego Port Terminal, ponieważ ustawiono nas przy pirsie nr 4. Przez przestronne hale dworca morskiego, obok wielkich sklepów strefy wolnocelowej pełnych wszelkiego, bardzo taniego, choć nieco tandetnego dobra, wydostajemy się na górny poziom parkingu przylegającego do przebiegającej obok, a potem po wielkim moście nad zatoką, słynnej trasie „Tokaido”. Most nazywa się Kobe Ohashi i można się

przecinać sama z sobą ta właśnie droga kiedy jej niesamowite meandry przenoszą się z jednego zboczka kotłowni na drugie. Przejeżdżamy przez most rozpięty nad innym odcińkiem tej drogi. Wszystko się już poplątało. — Widzieliśmy ten most (zbudowany pięknym łukiem z potężnych rur i także pomalowany na czerwono) najpierw od dołu, potem przezeń przejechaliśmy a wreszcie zobaczyliśmy go z tyłu i z góry.

Na wirażach tej niezwykle autostady stoją lustra, w których kierowca może zobaczyć co jest za węgłem, nie jest bowiem możliwe, aby dwa pojazdy wymiły się na zakręcie — jadący z góry musi więc poczekać.

czyżni, kobiety, dzieci pojadają coś z kartonowych pudełek, w których tam na dole, w mieście kupuje się gotowe zestawy weekendowe: kilka sandwiczów z puszystego chleba, jajko na twardo, udko kurczęcia, jakaś smażona rybka, baton czekoladowy, jabłko, puszka „Coca-Coli”.

Prawdziwą sensację budzi jednak to co jest w ogrodzeniu z siatki. Podchodzi tam, przepycham się między obiegającymi Japończykami, zaglądam komuś przez ramię i przecieram oczy ze zdumienia. Wewnątrz ogrodzenia są jakieś drewniane skrzynki, ktoś porozrzucił kępi siana i słomy. Spod takiej budki wyłania się nagle sympatyczna różowa mordka w puszystej oprawie

Następna atrakcją ekscytującą szerokie rzesze mieszkańców tego kraju jest inna anglosaska gra, także dla nas „szczurów kontynentalnych” mało zrozumiała i ciekawa, a mianowicie — golf. Nie na każdym kroku, ale bardzo często można spotkać specjalne sklepy sprzedające ubiory, komplety kijów, pileczki, czapeczki itd. itp. akcesoria do gry w golfa. W dość monotonna krajobrazach miejskich aglomeracji wypełnionych wielkimi połaciami małych, nieciekawych domków dominują często wielkie... sieci, rozwieszane na stalowych konstrukcjach. To właśnie pola treningowe do gry w golfa. Pileczka wybijana kijem osiąga dużą prędkość i znaczne odległości. Tu więc grzeźnię w siatkach i zabawa trwa. Kiedyś przy stacji benzynowej, koło której przejeżdżaliśmy, jej młody pracownik trzymając akurat jakiś klucz, który miał podać swojemu koledze naprawiającemu samochód, ćwiczył klasyczną postawę golfową i wykonywał precyzyjne ruchy imitujące uderzenie kijem pileczki... Podobno reprezentant Japonii zwyciężył w jakichś światowych mistrzostwach golfa i narodowa dumą w tej dziedzinie wzrosła.

Rozrywką jednak najbardziej demokratyczną jest Pachinko (Paczinko). Kiedy się idzie ulicą jakiegoś miasta Japonii już z daleka dobiega charakterystyczny grzechot. Wirują neonowe reklamy, toczą się kaskady świetlnych kulek... Zajrzyjmy do środka. Salon jest znakomicie oświetlony. Tuż przy wejściu z reguły stoi automat z napojami chłodzącymi, a obok automat sprzedający kulki. Są one metalowe, mają średnicę 6—8 mm. Wystarczy wrzucić 100 yenów, by do podstawionego wcześniej metalowego pojemnika wpadło kilkanaście takich kulek. Teraz idziemy do jednego z automatów, które stoją w rzędach jeden obok drugiego. Przed każdym popielniczka i okrągły stolek. Siadamy. Wrzucamy nasze kulki do specjalnego wpustu, a następnie naciskając klawisz wprowadzamy kulki kolejno w labirynt sporządzony z gwoździków. W nim jest kilka pułapek. Gdy kulka odbijając się jak oszalala o gwoździki zdola wpaść w taką pułapkę, co zdarza się średnio raz na 15—20 przypadków wówczas z dolnego otworu maszyny wylatuje znowu garść takich samych kulek. I tak dalej i tak dalej.

Z reguły, kiedy ktoś pierwszy raz siada do tej gry, 100-yenowa porcja kulek szybko znika bezpowrotnie w czeluściach automatu. Co chwila jakas kulka wpada w pułapkę, rozlega się charakterystyczny grzechot towarzyszący „wygranej”. Widziałem też automaty, w których wrzucenie kulek w labirynt zostało zmechanizowane i udział grającego sprowadzał się do obserwowania co się dzieje za szybą, albo nawet tylko do palenia papierosa i pogawędki z sąsiadem.

Automaty w salonach pachinko są od świtu do głębokiej nocy czynne i obłożone. Grają wszyscy — starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, osoby świeckie i duchowne. Zdarza się, iż ktoś wygrywa, że liczba kulek wypadających z automatu jest większa od ilości wrzucanej i stale rośnie. Gracz kończy zabawę, zgarnia swoje kulki do pojemnika, zanosi je do Japończyka obsługującego salon. Tam są one wrzucane do specjalnego automatu, który przelicza je i podaje wartość w yenach. I teraz dopiero następuje moment kulminacyjny: temu który wygrał wypłaca się wygraną... czekoladkami, albo szczerząckami do zębów (pięknie opakowanymi

## WEEKEND NA GÓRZE ROKO

JÓZEF POTĘGA

godzinami gapić na jego jednocześnie prostą i... elegancką konstrukcję pomalowaną na czerwono. Japończycy bowiem, czego dowody spotykaliśmy na każdym kroku, uważają, iż nawet most dominujący nad okolicą może ją zdobić jeżeli ma piękną, nowoczesną sylwetkę i jeżeli jest pomalowany nie na jakiś „mostowy”, a więc szary kolor, lecz na niebiesko, zielono, lub czerwono... Jest wtedy naprawdę elegancki...

Wsiadamy do autokaru, który ma nas zawieźć do ośrodka wypoczynkowego — na szczyte góry Roko najwyższej w paśmie dominującym nad Kobe. Tam kobańczycy spędzają weekendy...

Zaczyna się to wszystko zwyczajnie i niewinnie. Wielki autokar dorównujący rozmiarami „polskim Berlietom” wjeżdża między kwatery miasta zabudowane niewielkimi domkami. To znowu powszechny tutaj widok: stosunkowo małe skupiska domów kilkupiętrowych, czasem nawet okazałych wieżowców wielkich firm, sterczą w morzu małych, tradycyjnych domków japońskich. Za oknami migają — jak wszędzie w Japonii — bardzo starannie utrzymane wejścia do sklepów, sklepików, restauracyjek, barów i banków. Wszystko to jest utrzymane w europejskim, a może raczej amerykańskim stylu. Stopniowo jednak krajobraz zmienia się i wkrótce jesteśmy w dzielnicach mieszkaniowych, tam właśnie gdzie wielkie polacie miasta zabudowane są małymi, drewnianymi domkami o dachach krytych grubą, tradycyjnego kształtu, często ciemną, ale także i jasną kolorową dachówką. Przy każdym z nich obowiązkowo, choćby mikroskopijny ogródek, urządzonej z tradycyjnym smakiem i stylem. Czasem gdy miejsca mało, ogródek taki mieści się w sporej glinianej donicy. Wszędzie jest bardzo czysto, bardzo porządnie. Wszędzie znać rękę troskliwego gospodarza.

Wjeżdżamy wreszcie na trasę, która ma nas zawieźć na szczyt góry Roko, o którym tak wiele nam opowiadano. Wznosi się on na wysokości 932 metrów ponad poziomem morza. Zaczyna się fantastyczna jazda. Idealnie wyprofilowana, asfaltowa szosa pnie się w górę coraz straszliwiej i kierowca często musi stosować niskie biegi: drugi a może i pierwszy nawet. Silnik wyje jak opętany, a autobus posuwa się wolno, pracownie pokonując wzniesienie. Co pewien czas, gdy droga jest bardziej płaska, kierowca zatrzymuje autobus, wyciąga silnik aby się ochłodził. Droga wije się serpentyną. Czasem są one tak ostre, że jednocześnie tył pojazdu wisi nad przepaścią, a przód niemal ociera się o skały zbocza. Patrząc w dół: można doznać zawrotu głowy! Za nami jedzie pięć pozostałych autobusów i czasem widać je wszystkie naraz, tyle tylko, że każdy znajduje się na innym poziomie, na zupełnie innym „piętrze” tych niebawymych „schodów”. W pewnym miejscu szosa wije się tak bardzo, że mijamy jedynie w swoim rodzaju skrzyżowanie. Tu

W miarę pokonywania tej trasy, której układ, stopień trudności i liczba atrakcji dorównywały klasycznej górskiej kolejce w pierwszorzędnym wesołym miasteczku, zastanawialiśmy się co też musi być na samym szczycie, na górze Roko dokąd wiodła ta droga tak piękna i tak



Fot. Archiwum

trudna i kosztowna jednocześnie. Musiały być przecież jakieś specjalne racje, które skłoniły „odnośnie czynników” do wydania tak ogromnych funduszy. Jeszcze trochę i ujrzelibyśmy odpowiedź na te pytania...

Oto bowiem autobus nasz dotarł na szczyt. Już widzimy po obydwu stronach szosy porośniętą trawą polany, a tu i ówdzie kępi sosen i świerków. Teraz autobus zjeżdża trochę w dół i wtacza się na ogromny wysypisko żółtym żwiru parking.

Wiele mroźny wiatr wiejskający się pod ubrania. Rozglądamy się i dopytujemy gdzie jest to miejsce, z którego można ponoć oglądać panoramę miasta Kobe? Widok stąd musi być fantastyczny. Ale miejsca takiego nie ma krawędzie wyżyny czy góry na której się znajdujemy porośnięte są krzakami.

Pośrodku ogromnej polany stoi chałupka zbudowana z cegieł i kamieni, przywodząca na myśl podobne obiekty alpejskie. Nicco dalej widać inne dwa domki, których ściany stanowią... pruski mur: białe tynkowane powierzchnie poprzecinane ciemnymi belkami. Na hali nie opadał pasie się kilkanaście owiec takich samiułentkich jak nasze, polskie. Nicco dalej płuszcze strumyczek w cembrowinach betonowych skaczący nie z kamyka na kamyk, ale z cementowego progu na inny cementowy próg.

Na łączce, którą można z powodzeniem nazwać „osiłą”, barwnymi grupkami rozsiadły się japońskie rodziny odziane z amerykańską, w dżinsach na ogół, w kolorowych czapczkach z długimi daszkami. Męż-

białej sierści, a po chwili wyłazi na światło dzienne cały, bielusiński angielski królik. Chwilę kica po zagrodzie samotnie, potem wyłazi drugi i trzeci. Japońskie brzdące piszcą z ucieczki i klaszczą w łapki. Solozszone króliki kicają do swoich kryjówek. Koniec przedstawienia.

Wracam do „schroniska”, przez którego otwarte drzwi przelewają się bez sensu, dosłownie tłumy weekendowych gości. Z trudem udaje mi się dopiechać i wrzucić 100 yenów do automatu, który wydaje puszkę z „Coca-Colą”. Jeszcze kilkanaście minut i już... mamy dosyć tej kobańskiej „Gubałówki”. Nie wiadomo czy śmiać się czy złościć. Jechaliśmy tu w niektórych momentach ryzykując życiem, co jest w warunkach tak pokłanianej drogi górskiej właściwie normalne. I po co? Prawda, sama szosa jest fascynująca, przepiękna, stanowi przykład eleganckiej roboty inżynierskiej... Ale to tylko droga, która wędze na fałszywą „hale” do trzech angielskich królików...

Kiedy przedtem opowiadano nam, że Japończycy zupełnie nie umieją spędzać czasu wolnego od pracy — nie wierzyliśmy. Powiadano nam, że Japończyk, który decyduje się wyjechać z rodziną w sobotę rano swoim samochodem i spędzić ten i następny dzień np. na którymś z źle wyposażonych campingów, przedstawia sobą widok żalony. A jeżeli w dodatku spadnie deszcz kłeska jest zupełna. Ulubioną rozrywką Japończyka po wielogodzinnym dniu ciężkiej pracy (wykorzystywanie godzin nadliczbowych jest tu regułą, dają one bowiem dodatkowy zarobek, o który w tym kraju nietawno) jest oglądanie któregoś z siedmiu programów telewizyjnych (w tym trzy kolorowe). A jeżeli jeszcze akurat emitowana jest transmisja meczu baseballa, albo jakiś film samurajski (prawie to samo co westeren dla nas!) — szczęście i relaks są pełne.

Przez kilkanaście minut uparłem się i oglądałem jedną z takich właśnie transmisji. Ogromny stadion (chyba olimpijski w Tokio), piękna pogoda (transmisja była kolorowa), zielen murawy, czerwone i niebieskie kostiumy zawodników. Niektórzy z nich trzymali w rękach wielkie drewniane pały. Wszyscy stali nieruchomo. Płynęły minuty. Cisza. Nagle któryś z nich rzucił niewielką pileczkę. Ktoś inny łapał ją, albo nie łapał... Chwila jakby napięcia, emocji, publiczność na trybunach wrzeszczy (dlaczego?). Zawodnik patrzy w ziemię i wraca powoli na poprzednie miejsce. Co się stało, na czym to polega, co jest grane?! Podobno tylko nielicznym Europejczykom udało się przeniknąć zasady gry w baseball, zrozumieć je. Nie słyszałem natomiast ani nie czytałem, by ktoś z naszego kontynentu potrafił się tą grą emocjonować... Japończycy w jakimś turystycznym folderze napisali ponoć, że „jeżeli chcesz poznać ducha Japonii — pójdz na mecz baseballa”. Był to dla Amerykanów dotkliwy policzek, ponieważ to oni uważają — i słusznie — iż są „ojcami” tej przedziwnej gry.



Fot. Archiwum

w pudeleczka), albo gumą do żucia, albo czymś takim. Co robi z tym dalej ów szczęściarz, który otrzymał kilkanaście szczerzączek do zębów? Nie wiem. Nigdy nie wypłaca się wygranej pieniądze.

Także i ta gra, ta forma hazardu — bo w końcu o to tu chyba chodzi — ta forma relaksu jest dla nas dosyć nudna, nie absorbuje bowiem ani rąk, ani umysłu, ani nerwów. Wpływ na przebieg gry ma się właściwie żadny... Oto „tajemnice Wschodu”.



Fot. Archiwum

trwają bezustannie. Właśnie mijamy miejsce, gdzie prowadzony jest drobny ich fragment. Chodzi o przecięcie starego falochronu. Ujadają pneumatyczne młoty wgrzyżające się w żelbetonową konstrukcję. Wszakże te poruszane sprężonym powietrzem żądla osadzone są na ramieniu ma-

# Z TEKI PRZEKŁADÓW TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO



APOLLON KORIFSKI

## DOBROGNIĘWA

BALLADA Z DAWNYCH LAT

Ostoja ziem Polaków,  
Ku Rusi, spoza Karpat  
Poziera moźny Kraków  
Niczym dostojny magnat.

W poczcie szlachełnych panów,  
Których bezcenne zdanie,  
Pod dzwon koronnych dzbanów  
Ucztuje pomazaniec.

Lala się Dnieprem-wodą  
Zmieszana krew krewniacka —  
Dziś gorę nad niezgodą  
Ma przyjaźń rusko-lacka.

Czyja pierś w licznych ranach  
I kto się wstawił bitwą,  
Temu sam król dziś z dzbana  
Ognisty leje likwor.

Kontusz na nim bobrami,  
Sobolami podbity;  
Diadem sypie iskrami  
Znad kędziorów obfity.

Chwała ludów przymierzu!  
Czas po bojach na gody!  
Trofeum Kazimierza  
Zonka cudnej urody.

Lubym ogniom serc chwala!  
I tej chwala i dzięki,  
Co w gródni Jarosława  
Gasila wszystkie wdziękiem!

Któręj duma książęca,  
Błyskawica — spod powiek,  
A pierś — iście jabędzia,  
A głos — zaiste słowik.

Górowała nad słostry  
Czarem, duszą ognistą —  
Niczym słońce w czas wiosny,  
Niby bystry zdroj czystą.

Niczym wiosny pierwiosnek  
Jej marzenia dziewczęce,  
A jej serce radosne  
Od róż cudnych piękniejsze.

W wiano — w dniu swych zaślubin  
Król Kazimierz dać gotów  
W podarunku swej lubej  
Skarb dziedzicznych klejnotów.

„Tych bezcennych kamyków  
Taką moc mam w skarbnicy —  
Od panów, zagrodników —  
Ze i rachmistrz nie zliczy;

Aksamit zlotolity,  
Perły w misternej skrzyni,  
Szarłat jedwabiem sztyty...  
Bierz wszystko, monarchini!”

Lecz gdy serce bogate,  
Samo jak gwiazda błyszczący,  
Nie cieszą je szkarłaty  
Złoto i ametysty.

„O, nie dawaj mi w wiano  
Klejnotów ni bursztynów,  
I złoto niech zostanie  
Dla twej polskiej krainy!

W zamkowych twolch lochach,  
Dreżonych chłodem, głodem  
Moc jeńców w więzach szlacha.  
Wypuść ich na swobodę!”

Popatrzał król na dziewę:  
„Niech będzie twoja wola”...  
I sławią Dobrognięwę  
Po zamkach i opolach.

Nie błyszczą halabardy,  
Nie świecą jatagany —  
Pieśń nucą siwe bardy,  
Rozkuwa młot kajdany.

Weseli się gród Kraków —  
Serce tej ziemi mężnej.  
Szczęśliwy król Polaków  
Przy boku ruskiej księżnej.

A oto spod Wawelu  
Ku laszej ziemi krańcom  
Po traktach, stęgnach wielu  
Na Ruś wracają brańce.

A już z onymi społem  
Nad Dniepr, poprzez Karpaty  
Mknie dobra wieś sokolem,  
Gdzie Kijów — gród bogaty.

Od córy Dobrognięwy  
Dla ojca pokłon — słowo:  
„Szczęśliwszej na wszyj obfity  
Dziś nie ma nad królową”.

1893—1895

KONSTANTIN BALMONT

## ŚWIĘTOWIT

Prastara śni mi się Arkona  
I chram na szczycie,  
Błyskają głębie nieboskłonów...  
Czas gromobicia.

Majaczy zjawa Światowjta  
Wśród chmur rozłogów,  
A wkoło wieńcem święta swita —  
Ród możnych bogów.

Konno. Nad wszystko kocha w świecie  
Podniebne cwały.

Wichry błyskawicę spod nóg miecie  
Jego koń biały.

Rzucił szkarłatną bóg Arkonę,  
Mroczne kotary,  
Gdyż tęskni za nie tkniętym łonem  
Nieba bezmiarów.

Zapomniał rytów i świętości  
Ścian malowanych

Dla świeżych doznań, dla radości  
Zmiany — odmiany.

Róg z miodem, luk rzucony w kącie  
Ze strzałą boską  
I niesie się po horyzoncie  
Gromowy loskot.

Twój świat słowiański w ogniu stanął  
I dusza gorze...

Ku jakim nas oczarowaniom  
Wodzisz, prabże!

1906

W dorobku pisarskim Tadeusza Chrościelewskiego, cenionego poety, prozaka i filologa, niepoślednie miejsce zajmują tłumaczenia z literatur wielu narodów. Choć twórca ten nie stroni od przekładów prozy, to jednak jego pasje translatorskie skupiają się głównie na poezji. Polską szatę językową uzyskały pod piórem Chrościelewskiego wiersze poetów radzieckich (rosyjskich, białoruskich, azerskojęzycznych, litewskich, łotewskich, gruzińskich, ukraińskich), jugosłowiańskich (macedońskich, słoweńskich) i niemieckich. Opracował też obszerny, opatrzone historyczno-literackim komentarzem, wybór wierszy Grigorija Pietnikowa (1973).

Ostatnio coraz częściej gości na naszych łamach współczesna literatura rosyjska. Siegnęliśmy więc tym razem do klasyki, pragnąc pokazać kilka mało znanych tekstów, które budzić mogą szczególne zainteresowanie polskiego czytelnika, gdyż podejmują motywy w tradycjach naszej kultury obecne i o splataniu się losu obydwu narodów świadczące.

Słowo o autorach.  
Nikołaj Gnedicz (1784—1833), przedstawiciel sentymentalizmu, poeta i tłumacz o zainteresowaniach hellenistycznych, przełożył heksametrem „Iliadę” Homera (1829).

Iwan Dmitriew (1760—1837), również poeta preromantyczny, twórca bajek, satyr, epigramatów, a także powieści.

Apollon Korifski (1868—1937), poeta i tłumacz, dał przekłady z Mickiewicza, Słowackiego, Syromkomi, Wiktora Gomułkiewicza i innych polskich poetów ubiegłego stulecia.

Konstantin Balmont (1867—1943), wybitny poeta, tłumacz i teoretyk poezji. Najpełniej wypowiedział się w stylu literackim symbolizmu. Warto też wspomnieć, że tłumaczył utwory Słowackiego i Kasprowicza. Władimir Szcziglew, poeta i działacz radykalnie-demokratyczny lat sześćdziesiątych XIX wieku. Jeden z najczynniejszych współpracowników słynnego tygodnika satyrycznego „Iskra”. Pismo to zdecydowanie stało się na stronie powstania styczniowego. Wychowany na lekturach polskich romantyków, m. in. Z. Krasńskiego, napisał wiele wierszy opiewających meźstwo powstańców i wyrażających solidarność z dążeniami wyzwoleniczymi polskich patriotów. Wiersze te krążyły w XIX wieku w odpisach po Rosji i Królestwie Kongresowym. Były wypadki, że brano je nawet za wiersze polskie, przełożone na język rosyjski.

NIKOŁAJ GNIEDICZ

## DO ALBUMU

## MARII SZYMANOWSKIEJ

(Słynnej pianistki)

Jak w gromach dzwonych harf  
Cichutki głosik fletni

Osamotniony i bez siły,

Jak wśród portyków i kolumnad

świątecznych

Uboża urna znad mogiły  
Pogrąży serca w smutku i roz-

marza —

Tak nieznanego Ci pieśniarza  
Tu, wśród natchnionych pieśni Ka-

men dźwięcznych

Być może, zwróci Twe spojrzenie  
I na Twe lica przywieje zasypanie

Ten wierszyk nieporęczny.

1822—1823 (?)



WŁADIMIR SZCZIGLEW



Wciąż to samo i to samo

Na tej naszej ziemi starej:  
To zwycięstwa, to trucizny  
Musisz spełniać gorzką czarę.  
To nadziei promyk błysnie,  
To ciemności świat owioną...  
I znów wnuki nad wnukami  
Szydzą będą w nieskończoność.  
Jednak bój to sprawa święta:  
Z niej moc nasza, życie nasze...  
A za życie wszak, panowie,  
Nie żal spełnić gorzką czarę!  
1864



WŁADIMIR SZCZIGLEW



Drzemią w mrokach nocy  
Działają, cienie basz...  
W basztykach ponurych  
Stąpa, czuwa straż...  
Męczenników sprawy  
Więzi głuchy mur...  
Tobie też niebawem  
Ścisnie dłoń sznur.  
1864

WŁADIMIR SZCZIGLEW



Zgasł pożar... ziemia spopieleną  
Już nawet rzadko iskrą błyska...  
Powstanie nasze z zalaną krwią podkówą,  
Wracaj na orny grunt na nowo!  
Twój pan w ostatnim boju poległ,  
Zostali po nim działki małe.  
Spiesz na zroszone łzami pole  
Do jego żony owdowiałej.  
Inny ci podjął trud się godzi:  
Tym, co do buntu się zerwali,  
Brzasku wolności wyglądali,  
Pomóż, niech ziemia im obrodzi!  
Zbiorów pijanych mordem gości,  
Jeszcze w mogiłach świeże kości —  
Marzenie nie ziszczono, żegnaj!  
Świętego żalu, też tłumionych  
Dni wejdą chmurą nad pogorzel,  
Skrzyły się w mrok nie przelknięty  
Nadziei naszej złote zorze...  
Zabito w sercach dawną wiarę,  
Nikt nas nie porwie przeciw grotom...  
O, piekło wspomnień! Wciąż z  
koszmarem  
Przegranej walki!...

Wysoko wielką gestwą w mrokach,  
Gdy gwiazdy błysną, a noc głucha,  
Cienie poległych na obłokach  
Snują się, mrowią, spójr, w  
łańcuchach.  
Migoczą kosy... krzyż w przestworach  
Przodem chybotę ponad matwą...  
Chorałny się rozlega chorał,  
A potem niebo huczy kłutwą...  
I widzą dzieci w marze senniej  
Swych ojców w tłumie widm  
straszliwych  
I skry, co rozlił przyszłe zrywy,  
Bezwidnie w duszach ich się jarzy...  
Tak, dzieci! Wiarę w was pozwoli  
Łatwiej im straszne znieść cierpienia.  
Rośnijcie, nowe pokolenia,  
I zmyjcie piętno z nas niewoli!  
1864

## WSKRZESZANIE MATUZALEMA

Dla tych czytelników, którzy znają dotychczasową twórczość Tadeusza Chrościelewskiego, lektura jego najnowszej książki będzie kolejnym spotkaniem z utworem, w którym wyobraźnia literacka operuje na pograniczu rzeczywistości i imaginacji, a fikcja fabularna i autobiograficzna faktografia przenikają się wzajemnie. W „Lasec Matuzalema” jednak świat przedstawiony w mniejszym niż poprzednio w twórczości Chrościelewskiego stopniu polega na przetworzeniu rzeczywistości w język obrazów, opisów i akcji.

Jako formułę swej wypowiedzi przyjął pisarz cykl opowieści, powiązanych osobą narratora, a to, iż czyta się stronę za stroną bez zniecierpliwienia czy znudzenia, jakimi zagraża zbyt zniecierpliwienie się w sprawy drobne, indywidualne, zawdzięcza należy światem warsztatowi pisarskiemu Chrościelewskiego. Poszczególne rozdziały tytułowane są klasycznie (czy nawet banalnie) dla gawędziarzy i „opowiadaczy”, np. „O cudzie w Janowie”, „O Księżu i Zielonej Damie” itp. i to także nastraja do w pewnym sensie „prywatnego” odbioru. W poprzednich książkach Chrościelewskiego dostrzec można często korespondencję pomiędzy przeżyciami osobistymi autora a jego twórczością; w „Lasec Matuzalema” ten przekaz wynikania nasila się. Nie znaczy to bynajmniej, że książka jest wielką ankietą personalno-życiową bohatera i autora w jednej osobie.

Wprowadzenie w treść utworu: szukanie relikwii rodzinnej tradycji, odwoływanie się do ojcowskich opowiadań, wreszcie wskrzeszenie Matuzalema jako swego rodzaju medium znanego niemal od kolebki — to wszystko ewokuje aurę tajemniczości, a jednocześnie jest w o-wym opowiadaniu o Matuzalemo-wej lasce zrozkwiatającym kwiatem motywu symbolicznego. Symbol powracania, odradzania się, trwania. Po tym „uzasadnieniu” autor sięga głęboko w przeszłość, zwierając się ze swych dziecięcych przygód i rozterek. Aby zaś uzmysłowić ponownie, że ten cały świat warunkowany jest w swoim istnieniu procesem wspomnieniowym, nie ukrywa, w jakich okolicznościach (na spotkaniu rodzinnym) do nawrotów tych dochodzi, a zaraz po tym, przytacza opowiadania innych osób, przejęte już niekiedy na własność.

Mamy tu wspomnienie o rodzinnych perypetiach, o wujku, do którego nie wygasł do dziś emocjonalny stosunek autora, przeszedłszy możemy budowę drzewa genealogicznego rodu pisarza, dowiadujemy się także nieco zabawnych historii o „istnieniu” duchów, wreszcie obserwowujemy oczami i psychiką dziecka „gwiazdy zlatujące”. Obecne są również wątki autotematyczne, szczególnie w rozdziale „O Judydzie bez sosny rozdartej” gdzie Chrościelewski wielokrotnie powraca do tego, jak wiele kłopotu (i tremy) kosztowało go poświęcenie kilku stron druku lekarzowi, któremu dużo zawdzięcza. Dramatyczna wymowa ma natomiast (mimo ładunku humorystycznego zawartego w relacjonowanej sytuacji) zwierzenie o nocy spędzonej z Celina. Jej obraz w pamięci autora pozostał szczerym wizerunkiem, zapamiętanym z okresu wojny. Odtworzył tego obrazu już nie można — Celina, walcząca o życie swoje i swych bliskich, zginęła z rąk hitlerowców. Pisarz zresztą, ujmując tę całą autentyczną fabułę w aspekcie czasowym, zdaje sobie sprawę, że mijających i minionych lat nie da się w pełni powtórzyć. Mogą one powrócić w snach, tak samo jak ożywiony ponownie Matuzalem, którą to wizję Chrościelewski zamyka książkę: „A właśnie szedł ku nam i, jak to bywa w snach, podchodził odchodząc, zbliżał się oddalając jakiś starzec z łaską, którego gdzieś kiedyś widziałem”.

W „Lasec Matuzalema”, którą autor poświęcił pamięci rodziców (co jeszcze podbudowuje jej osobisty charakter), widać także zamysł literacki. Pisarz operuje słowem w sposób oszczędny, ale jednocześnie potrafi przydać głębi tekstowi. Zarbarwienie uczuciowe, które niejednemu już pamiętnikarza zgubiło w połowie drogi jest przez Chrościelewskiego dozowane niezwykłą umiętnie i z dużym wycieciem dystansu zarówno własnego, jak i społecznego (czytelniczego) wobec własnych wspomnień. W rezultacie otrzymaliśmy książkę, pięknie opracowaną w swym literackim kształcie, co raz jeszcze potwierdza kunszt pisarski Tadeusza Chrościelewskiego.

Krzysztof Drzewiecki  
Tadeusz Chrościelewski, Laska Matuzalema, „Czytelnik”, Warszawa 1974, ss. 245, cena 20 zł.

## U PRZYJACIÓŁ

W ubiegłym roku gościło w Związku Radzieckim ponad 600 twórców zagranicznych, głównie z krajów socjalistycznych, natomiast około 400 przedstawicieli Związku Pisarzy ZSRR odwiedziło inne kraje. W roku bieżącym wymiana tego typu będzie kontynuowana.

Tegoroczne podróże pisarzy poza korzyścią nawiązania bezpośrednich kontaktów między twórcami różnych krajów, przyczyniają się w znacznym stopniu do upowszechniania dorobku literackiego krajów, które reprezentują. W roku ubiegłym — pisał w „Literaturnoj Gazecie” Irina Gawrilowa — wynikiem tych dwustronnych wojaży było wydanie szeregu dzieł z dziedziny poezji, prozy i publicystyki, które zdobyły sobie szerokie rzesze czytelników i spotkały się z dużym uznaniem krytyki. Wystarczy przypomnieć że w rezultacie tych wizyt czytelnik radziecki otrzymał między innymi powieść czechosłowackiego pisarza „Myśliwy w tajdze”, tomik bułgarskich pisarzy zatytułowany „Kraj, w którym słońce nigdy nie zachodzi”, a także antologię powieści mongolskich. W Polsce natomiast ukazała się niedawno publikacja „Notatki z kraju przyjaciół”, której autorami są: J. Dobraczyński, K. Kłos, Z. Kobylanska, Z. Lesiewski oraz M. Starzyńska.

Nie wszystkim wiadomo, że znany łódzki poeta Igor Sikirycki, który jest autorem wydanego niedawno przez Wydawnictwo Łódzkie zbioru poezji Maksyma Tanka, o czym relacjonowałyśmy zresztą szczegółowo w poprzednim numerze „Odgłosów”, ma na swym koncie ponad 500 przekładów poetyckich z języka rosyjskiego. Wśród nich „Wieżnia w tygrysiej skórce” tłumaczył dwukrotnie — raz z języka rosyjskiego, a ostatnio z oryginału gruzińskiego.

Miło nam donieść, że już wkrótce ukazuje się po raz pierwszy w Polsce antologia poezji azerbejdżańskiej, nad którą prace prowadzi również tożądanie — I. Sikirycki i T. Chrościelewski.

Z okazji przypadającej w kwietniu 30 rocznicy Układu o Przyjaźni i Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską a ZSRR pod patronatem Związku Pisarzy obu bratnich krajów przygotowana jest obszerna, antologia literacko-publicystyczna pod tytułem „KSIĘGA PRZYJACIÓŁ”. Znajdą się w niej opowiadania, wiersze, szkice i utwory publicystyczne wielu pisarzy polskich i radzieckich. Nie sposób wymienić tu oczywiście wszystkich autorów, z konieczności zatem posłużymy się tylko kilkoma wybranymi nazwiskami. Są to: I. Erenburg, K. Simonow, K. Paustowski, E. Mielczajis, M. Tank, B. Polewoj, J. Nagibin, J. Winokurow oraz W. Broniewski, K. I. Gałęziński, J. Iwaszkiewicz, J. Tuwim, J. Ozga-Michalski, St. Lem i inni.

Wydanie tej 20-arkuszowej pozycji w Polsce zajmie się Państwowy Instytut Wydawniczy, natomiast w Związku Radzieckim opracowane ono będzie przez wydawnictwo „Pravda”. Publikacja ta, do której wejdzie szereg znanych już utworów, obejmie również pozycje specjalnie do niej napisane, stanie się niewątpliwie ważnym ogniwem we współpracy bratnich organizacji środowisk twórczych, służąc będzie także dalszemu zbliżeniu kulturalnemu narodów ZSRR i Polski.

Naród kubański złożył ostatnio hołd jednemu ze swych najwybitniejszych pisarzy — ALEJO CARPENTEROWI, który w końcu ubiegłego roku ukończył 70 lat. Światowej sławy powieściopisarz, którego dzieła ukazywały się w tłumaczeniach na wszystkie ważniejsze języki świata, jest znany i ceniony także w Polsce.

Carpenter powiła swoje 70 urodziny jednocześnie niemal ukończeniem trzech powieści — wydanego w 1974 roku „Odwolania się do metody”, „Koncertu barokowego” oraz „Świeta wiosny”. Ta ostatnia pozycja, której tytuł zapożyczony został od znanego dzieła Strawińskiego, zostanie w najbliższym czasie oddana do druku.

Ojeźna pisarza uczęła jego jubileusz recydują w masowych wydaniach wszystkich jego wcześniejszych powieści i zbiorów nowel oraz pierwszym na Kubie wydaniem „Odwolania się do metody”, które osiem miesięcy wcześniej ukazało się w Meksyku.

Uroczysta akademii z udziałem przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych, nadanie Carpenterowi doktoratu Honoris Causa przez Uniwersytet Hawański, setki artykułów w prasie najwybitniejszych pisarzy i krytyków latynoamerykańskich, specjalne programy w telewizji — to niektóre przejawy uznania i hołdu dla wielkiego pisarza i człowieka.

Miara jego popularności na Kubie jest wyczerpanie się w ciągu zaledwie kilku dni sześćdziesięciotysięcznego nakładu „Odwolania się do metody” i długie kolejki przed księgarniami hawańskimi w chwili ukazania się w sprzedaży jubileuszowego wydania jego dzieł.

Żyjemy na bardzo małej planecie. Wokół, w bezkresnej przestrzeni kosmicznej iskrzą się miliardy gwiazd, a niektóre z nich, być może, okrążają takie same światy jak nasza Ziemia, zamieszane przez istoty rozumne.

Specjaliści twierdzą, iż w miarę dalszego rozwoju nauki i techniki problem poszukiwania nowych „braci” w Kosmosie będzie coraz bardziej zaprzętał umysły uczonych. Sądzą oni także, iż za pięćdziesiąt lat, w 2025 roku, człowiek stanie na Marsie, a niewykluczone, że również na niektórych drobnych planetach krążących dookoła Słońca, między orbitami Marsa i Jowisza. Czy do tego czasu nawiąże ludzkość łączność z nie znaną jeszcze dziś cywilizacją istniejącą w Kosmosie?

Wiosną 1960 roku — jak podaje londyński „The Observer Magazine” — amerykański radioastronom F. Drayk podjął pierwszą próbę wykrycia sygnałów z innego świata, kierując antenę radioteleskopu na gwiazdy Tau Wieloryba i Epsilon Eridana. Uczonemu zainteresowały go właśnie te gwiazdy, są one bowiem, prawdopodobnie tego samego „gatunku” co Słońce. Podobne do naszego ciała niebieskiego, mogły zrodzić „rodzic planet”, a na jednej z nich mogło powstać życie. W skali kosmicznej, Tau Wieloryba i Epsilon Eridana znajdują się stosunkowo blisko od nas, bo w odległości mniej więcej 11 lat świetlnych, tj. około 10 trilionów kilometrów.

W przeciągu trzech miesięcy Drayk „przesłuchiwał” niebo, próbując przy pomocy radioteleskopu złowić sygnały pochodzące od innych cywilizacji. Próba zakończyła się niepowodzeniem, ale — jak powiedział uczone — wcale go to nie dziwi. Istnienie bowiem innego świata zamieszkanego przez istoty rozumne w odległości 11 lat świetlnych od nas oznaczałoby wyraźne „przeludnienie kosmosu”. Badania nie dały wprawdzie wyników, ale nie zostały zapomniane.

Siedem lat później specjaliści z radioastronomicznego obserwatorium w Cambridge zaczęli mówić o „małych zielonych ludzikach”, kiedy wykryli tajemnicze źródło sygnałów w jednym z gwiazdozbiorów. Sygnały nadechodziły z regularnością przewyższającą dokładność zegarów obserwatorium. Czyżby więc był to przekaz informacji z Kosmosu?

Niewiadomo dotąd, czy istnieją szluczenie wywołane sygnały wysyłane z Kosmosu, które by można przyjąć na Ziemi. Do naszej planety dochodzi ogromna masa sygnałów na przeróżnych falach. Chcąc przyjąć kodowane informacje międzygwiazdne, w których istnienie wierzy sporo uczonych, należy wsłuchiwać się w

Kosmos o wiele bardziej uważnie niż robiono to dotąd.

Niedawno w Związku Radzieckim, w Armenii, odbyła się konferencja naukowa poświęcona problemom istnienia pozaziemskich cywilizacji, na której uczeni radzieccy mówili, że już od kilku lat „przesłuchują” gwiazdy znajdujące się w odległości 100 lat świetlnych od Słońca, mając nadzieję na wykrycie jakiegoś dowodu życia istot rozumnych. W początkach 1973 roku Amerykański Urząd Aeronautyki i Badania Przestrzeni Kosmicznej poinformował o zamiarze szerokiej badań w zakresie łączności międzygwiazdnej. W związku z tym projektuje się wybudowanie giganty-

węglu, azotu i tlenu. Prawdopodobnie atmosfera „młodej” Ziemi składała się właśnie z tych elementów. Później węgiel połączył się z wodorem i powstał metan, a azot z wodorem i powstał amoniak. Połączenie tlenu z wodorem stworzyło wodę.

Dwadzieścia lat temu chemik z uniwersytetu w Chicago, St. Miller, otrzymał w laboratorium bardzo złożone organiczne molekuly z podobnych prostszych mieszanek gazowych, przepuszczając przez nie ładunek elektryczny i imitując w ten sposób potworną burzę, która mogła się wydarzyć na Ziemi w czasach pierwotnych. Stworzona przez Millera „atmosfera” zaczęła wydzielac strumienie amino-

zależnie od kilku lat, ale wiadomo już dziś, że Wszechświat obfituje w amoniak i wodę.

Obecnie można już powiedzieć na pewno, że niektóre gwiazdy powstają otoczne gazami, podobnymi do tych, jakie istnieją, na przykład, w atmosferze Jowisza, czy też do tych gazów, które kiedyś stanowiły „atmosferę” Ziemi. Zdaniem niektórych radioastronomów zgęszczenie gwiazdy, kondensacja pyłu i oddzielnych molekuly w planecie i atmosferze, a nawet następujące po tym procesie powstanie życia — są prawdopodobnie tylko częścią jednego astronomicznego cyklu ewolucyjnego w trudnym wyobraźni, ogromnej skali czasu.

Uczony amerykański Peter van de Camp, po trzydziestu latach „czuwania” w obserwatorium odkrył cały szereg gwiazd z niewidocznymi dotąd ich „towarzyszami”. Wokół drugiej najbliższej Słońca gwiazdy, małej czerwonej gwiazdy Barnarda, wykryto cały system planet. W 1969 roku, na podstawie obliczeń, Camp wynioskował, że obserwowane „zaburzenia” ruchu gwiazdy Barnarda muszą być spowodowane dwiema planetami wielkości, w przybliżeniu, Jowisza.

Orbity tych dwu planet są podobne do orbit strefy małych planet oraz Jowisza w naszym systemie słonecznym. Bez wątpienia są tam i małe planety, takie jak Ziemia, ale ich wpływ jest bardzo nieznaczny. Podobna metoda obliczeniowa pomoże kiedyś stwierdzić, czy mają swoje systemy także planety Tau Wieloryba i Epsilon Eridana.

Przy pomocy komputerów opracowano matematyczne modele procesów powstawania gwiazd. W większości przypadków elektroniczne maszyny obliczeniowe zapowiadają istnienie w centrum systemów planetarnych ogromnych ciał otoczonych gazami, podobnych w pewnym stopniu do naszych — Jowisza i Saturna oraz wielkiej ilości odłamków różnych co do wielkości Marsów, Wenus i Ziemi. Wiele systemów planetarnych obliczonych na komputerach trudno odróżnić od naszego systemu, co potwierdza hipotezę o istnieniu we Wszechświecie mnóstwa „systemów słonecznych”.

Można twierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że w niektórych wspomnianych „systemach słonecznych” istnieje życie pozaziemskie, jednakże powstanie tam cywilizacji technicznie rozwiniętych i przygotowanych do nawiązania łączności międzygwiazdnej — jest problemem zupełnie innym. Zaledwie w ciągu ostatnich dwudziestu lat powstały na Ziemi techniczne możliwości wysyłania sygnałów do gwiazd. Jeśli przypuszczalnie, teoretycznie mieszkańcy Tau Wieloryba mają możliwość nadawania do nas sygnałów i nadali je także w 1960 roku, kiedy dopiero zaczęliśmy „przesłuchiwać” niebo — ich informacje dotarłyby do Ziemi nie wcześniej niż w 1972 roku. Dzielni są bądź co bądź 11,9 lat świetlnych.

Jeżeli kontakt z innymi cywilizacjami nie zostanie nawiązany dziś lub jutro, musimy to nastąpić później i powinniśmy być do tego przygotowani. Wielu uczonych uważa, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że łączność taka zostanie nawiązana.

JERZY CZECH

## ■ KTO CHCE OPÓŹNIC PROCES ODPREŻENIOWY?

### ■ PORTUGALIA — W CENTRUM UWAGI

Dopiero niedawno, w prognozie na 1975 rok, podkreślaliśmy, że pomyślnie rozwijające się procesy odpreżeniowe w świecie mają swoich przeciwników, którzy nie złożyli broni. Ostatnie dni potwierdziły ich istnienie. Dwa fakty omawianego okresu nie mogą być zakwalifikowane do tych, które służą rozwojowi współpracy międzynarodowej.

Oto amerykański Kongres podejmuje decyzję, sprzeczną z zobowiązaniami prezydenta i radziecko-amerykańskim porozumieniem handlowym z 1972 roku. Z inicjatywy senatora Jacksona przyjęto na poprawki, które uzależniają wykonanie tego porozumienia od zmiany polityki emigracyjnej ZSRR. Pomijając już fakt niedopuszczalnej praktyki wiązania tak różnych spraw — jest to po prostu próba ingerencji w wewnętrzne problemy innego kraju. Nic przeto dziwnego, że Związek Radziecki odrzucił te warunki i uznał umowę za anulowaną. Czy inicjatorom chodziło rzeczywiście o „uelastycznienie” polityki emigracyjnej? Z pewnością nie, gdyż nikt rozsądnie myślący nie mógł oczekiwać, że wielkie mocarstwo pozwoli sobie narzucać sposób postępowania. W ich zamiśle było opóźnienie procesu od-

preżeniowego. Jeśli wsparli ich inni, którzy nie są przeciwnikami rozwoju współpracy, uczynili to, jak już wiemy, z wewnętrznych pobudek: chcieli okazać władzę Kongresu wobec prezydenta. I Ford i Kissinger skrytykowali postępowanie Kongresu i zapowiedzieli, że nie ustąpią w wysiłkach na rzecz dalszej poprawy stosunków z ZSRR.

I fakt drugi: Henry Kissinger w jednym z wywiadów dał do zrozumienia, że USA nie zawahałyby się użyć siły w celu obrony swych interesów naftowych na Bliskim Wschodzie. Wypowiedź ta rozumiana jako próba szantażu wobec bliskowskich producentów ropy spotkała się z natychmiastową repliką prezs. Sadata. Jest ona tym dziwniejsza, że Kissinger właśnie wybiera się z kolejną misją w ten rejon świata. O co więc chodziło? O „zmiękczenie” jego arabskich rozmówców? O wzmocnienie izraelskiego lobby w Stanach Zjednoczonych?

Prez. Ford w kilka dni później złądził wypowiedź swego sekretarza stanu, nie zmienia to jednak faktu, że USA nie wykluczają mili-

tarnej akcji, jeśli do tego zostaną „przyduszone” (takiego słowa użył Ford) gospodarczo. O tym zaś, że kryzys paliwowy daje się Stanom Zjednoczonym nadal mocno we znaki świadczy decyzja prezydenta o wdrożeniu opłat za importowaną ropę o 3 dolary za baryłkę. „Jej sens — powiedział Ford — spowoduje się do rozwiązania niezwykle krytycznych problemów energetycznych.” „Od dwóch lat — dodał — znajdujemy się w ślepych zaułku”.

Splot kryzysów, które nie opuszczają krajów Zachodu, rodzi zdenerwowanie. Nie może ono jednak udzielać się politykom, a tym bardziej wpływać na ich działanie. Pokojowe współistnienie jest obiektywną koniecznością i nie ma dla niego alternatywy. Próby zakłócenia nie będą miały wpływu na odpreżenie, jeśli szybko niwelować je będzie inna praktyka. Dlatego chcemy wierzyć, że oba omówione fakty będą miały znaczenie przemijające, a właśnie wznowienie obrady Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy oraz radziecko-amerykańskie rozmowy na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych nie odzują ich skutków.

Jest zrozumiałe, że w miarę zbliżania się terminu wyborów w Portugalii postępować tam musi polaryzacja stanowisk. Ostatnio przyczyną kontrowersji, która mogła doprowadzić do rozłamu w koalicji rządowej, stały się związki zawodowe. Chodziło o to, czy mają one być skłupione w jednej centrali, czy też różne organizacje mają być podporząd-

owane różnym partiom. Za pierwszym rozwiązaniem opowiadali się portugalscy komuniści. Finał jest pomyślny: rząd zaakceptował jednolitą strukturę związków zawodowych, a socjalistyczny ministrowie (to właśnie partia socjalistyczna i ludowodemokratyczna — opowiadały się za odmiennymi koncepcjami) pozostali w gabinecie.

Wydarzenie to zasługuje na uwagę, ponieważ wskazuje na trwające procesy w nowej Portugalii. Ciągłe mechanizmy zarządzania gospodarką pozostają w ręku monopolistów, którzy swą władzę wykorzystują przeciwko procesowi odnowy. Prawica ma instrument działania i każde osłabienie koalicji rządowej jest przysłówiową wodą na jej młyn.

Zbliżające się wybory mogą otworzyć w życiu Portugalii nowy etap. Obserwatorzy zastanawiali się, czy nadal główną odpowiedzialność za sytuację w kraju utrzymają wojskowi. Jak wiadomo, organizatorem przewrotu był Ruch Sił Zbrojnych, który od 9 miesięcy sprawuje władzę w kraju. Taki stan uważa się jednak za przejściowy, po którym ster rządów przejmą cywile. Kiedy to się stanie, czy ten moment należy wiązać z datą wyborów — nie jest jeszcze jasne.

W. SŁAWSKI

## TKANINA

# POLSKA SZKOŁA TKACTWA

Z KRYSYNA KONDRAZIUK — dyrektorem Muzeum Historii Włókiennictwa rozmawia Mariusz A. Jakubowski.

Pozycja polskiej tkaniny artystycznej w świecie jest znana od dawna. Potwierdziło to przyjęcie niedawnej wystawy w Pradze. Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi wystawiło w Pradze wybrane spośród wielu sektek prac — 94 tkaniny, dorobek kilkunastu wybitnych polskich artystów.

Praska wystawa nazwana: „TKANINA ARTYSTYCZNA W XXX-LECIE PRL”. W dziejach sztuki trzydziści lat nie jest okresem długim, a ta ekspozycja — podobnie jak inne — była przeglądem polskiej tkaniny ostatniego trzydziestolecia.

Chcieliśmy przedstawić ciekawie publiczności — mówi Krystyna Kondraziuk — wybór ciekawszych dzieł tkackich, które powstały po 1945 roku, ukazując tym samym drogę rozwojową polskiego tkactwa artystycznego, jego najważniejsze przejawy i kierunki. Wybraliśmy 94 tkaniny i gobeliny, choć w rzeczywistości w minionym trzydziestolecu powstało ich kilka tysięcy. Działła przecież u nas około 400 artystów. Wynik ich jednorocznej pracy przynosił niemal 1000 tkanin różnego rodzaju i formatu.

„Polska szkoła tkacka” — to określenie jest znane nie tylko w Europie. Nasze tkaniny były wystawiane przecież w Kairze, Bagdadzie, Bejrucie...

— Wystawy w Azji i Afryce odby-

wały się kilkanaście lat temu. Podejmując rolę propagatora kultury i sztuki Muzeum Historii Włókiennictwa systematycznie urządza każdego roku po kilka wystaw tkanin współczesnych w kraju i za granicą. Wystawy odwiedziły już wiele stolic i większych miast Europy, Afryki, Ameryki i Azji. Trwa to w zasadzie od 1962 roku, kiedy to Łódzkie muzeum było po raz pierwszy organizatorem działu polskiego, na I Międzynarodowym Biennale Gobelinu Współczesnego w Lozannie. Dla historii tkactwa polskiego był to rok przełomowy.

— W Czechostowacji wystawiono polskie tkaniny dawno? — Tak, była to wystawa gobelinu polskiego. Ale od dawna współpracujemy z Umiejęckoprzemysłowym Muzeum w Pradze. W Polsce Czesi pokazali swoje gobeliny współczesne, przyjęte przez naszą publiczność z wielkim zainteresowaniem.

— Dokonanie wyboru prac na zagraniczną wystawę musi być sprawą niezwykle trudną. Przecież w tkactwie artystycznym dokonują się skomplikowane procesy, trwa ustawiczne poszukiwanie nowych koncepcji artystycznych.

— Dzieła stają się coraz bardziej różnorodne, tkanina traci swą użytkową funkcję. Artysty wynajdują coraz to nowe rozwiązania techniczne, nadając swym dziełom coraz to nowsze formy. Pojawia się nie spotykane dotąd zjawisko „antytkaniny”. Zaskakujące często widza eksperymentalne kompozycje przestrzenne, płaskie lub wielowymiarowe, aczkolwiek nie te typowe — odkrywcze, otrzymują nowe nazwy. Na przykład, oprócz słynnych już „abakanów”, pojawiają się „struktury”, „Wojciecha Sadleja”, „chataty”, „Teresy Muszyńskiej”, „kolidie”, „Agnieszki Ruszczyńskiej-Szafrańskiej”, „rutany”, „Wandy Rut i wiele innych, nowych struktur z określeniami i nazwami wiążącymi się, jak dotychczas, z jednym tylko autorem — twórcą technik czy rodzaju tkaniny.

Jest to objaw normalny i zdrowy, ułatwiający klasyfikację trudnych, często niepodobnych do dawnych klasycznych gobelinów, dzieł sztuki tkackiej.

Tuż po wojnie przeważały tkaniny typu kameralnego: kilimy, tkaniny dwuosnowowe, nicielicowe, żakardowe i kobierce, a także gobeliny, głównie figuralne, pochodzące z pracowni Heleny i Stefana Galkowskich oraz ich krakowskich wychowanków. Artysty krakowscy wprowadzali natomiast w czyn hasła głoszone przez profesor Eleonorę Plutyńską: zharmonizowanie projektu z techniką wykonania, z tworzywem, jednoczesne wykorzystanie naturalnych walorów surowca, komponowanie na warszacie podczas tkania. Tworzyli coraz ciekawsze, coraz bardziej pomysłowe tkaniny.

Po krótkim stosunkowo okresie tradycjonalizmu pojawia się szereg nowych zjawisk: tkanina fakturalna, kompozycje abstrakcyjne, narodziny tkaniny przestrzennej i strukturalnej. Zjawia się, pod wpływem kryteriów wprowadzonych przez regulaminy

szwajcarskich biennale, gobelin monumentalny. Tkanina polska staje się nie tylko dostrożona, ale nagradzana i naśladowana.

— Jak Pani, jako mecenas polskiej sztuki tkackiej, tłumaczy przejście od sztywnych, surowych zasad „polskiej szkoły” do coraz popularniejszych koncepcji przestrzennych i trudnych nieraz do opisania struktur czysto autorskich? — Określenie „mecenas” przyjmuję raczej jako komplement, a co do tak modnych obecnie struktur i kompozycji przestrzennych, to ich powstanie poprzedziły długotrwałe poszukiwania sposobów urozmaicenia powierzchni tkaniny. Zaczęło się od różnicowania surowca, od zestawiania włókna cienkiego z grubszym, sztywnego z miękkim, lśniącego z matowym. Potem zaczęto wprowadzać wymyślne sploty tkackie, broszowania, wiązania, ażury, boucle, tworząc w ten sposób własne, indywidualne techniki o dużej nieraz perfekcji. Przykładem niech będą wspaniałe przepływy wibrujące, jakie wymyśliła Maria Chojnacka, lub de-

nym remoncie budynku, Muzeum wznosi swą wystawę „XXX LAT PRZEMYSŁU LEKKIEGO W PRL”, a także prezentację zbioru współczesnej polskiej tkaniny artystycznej z ostatnich trzydziestu lat.

likatne, koronkowe niemal, wiązania Natalii Piontek czy Agnieszki Ruszczyńskiej-Szafrańskiej. Taki właśnie sposób indywidualnego przekładania naszkicowanego projektu kompozycji na język tkacki wprost na krośnie i ustawicznego rozpracowywania w wyobraźni tej koncepcji wywodzi się bezpośrednio z zasad „polskiej szkoły tkackiej”, choć jednak jest tak daleki od techniki i rodzajów wytwarzanych wówczas tkanin. Ten „nowy styl” wymaga od artysty rzetelnej znajomości rzemiosła tkackiego, doskonałego zrozumienia praw rządzących tkaniną oraz ogromnej wytrwałości i pracowitości. Muszę przyznać, że nasi artyści posiadają wszystkie te cechy.

— Jakie tworzywa, jakie sploty i techniki stosują dzisiaj nasi artyści najczęściej? — Dominują nadal gobeliny. Wśród nich unikatowe, płaskie i wielowymiarowe oraz tkackie kompozycje przestrzenne. Coraz popularniejsze staje się włókno szalowe, szpagat, wszelkiego rodzaju liny i taśmy z lnu, konopi i juty. Zachwyca bogactwo technik, pomysłowość, kolorystyka. Gruba, często własnorecznie farbowana wełna, cienki i gładki jedwab, ostre konopie łączone w wymyślne sploty tworzą kompozycje niezwykle i piękne. Czasem artysta sięga po drewno, drut, białe, futro, skórę. Tkanina nie jest już komponowana w kwadracie, czy prostokącie, jest kolistą, półkolistą, łączoną, ma nie określony kształt przypominający roślinę, liście, pajęczyny, wodorośty czy wręcz rybakie sieci.

Wśród przytłaczającej większości tkanin eksperymentalnych spotyka się jednak nadal gobeliny tkane gładko, a także gobeliny przedstawiające. Ich autorami są, poza Galkowskimi oczywiście, artyści raczej młodzi, preferujący ten rodzaj tkanin. Tak samo zastanawiające jest eksperymentowanie uprawiane chętnie przez zaawansowanych wiekiem artystów, ciagle poszukujących nowych sposobów wypowiedzi twórczej. A już zupełnie odrębnie trzeba by potraktować tkaniny wykonywane w technice własnej typu collage, których przykładem mogą być słynne „sztandary” Władysława Hasłora i „totemy” Józefa Łukomskiego.

— Co złożyło się na tak podkreślaną przez zagraniczną krytykę niezależność polskiej tkaniny artystycznej? — Polscy artyści tkackie nie korzystają z obcych metod ani wzorów, sami wypracowują swoją własną technikę. Jedno jest niewątpliwie: twórczy udział artystów w realizacji własnych projektów, ten podstawowy warunek stawiany przez „polską szkołę” i związane z nim ustawiczne poszukiwania coraz to ciekawszych rozwiązań technicznych i fakturalnych doprowadziły w konsekwencji do tego, że traktowane w przeszłości nieco protekcjonalnie rzemiosło tkackie zmieniło się w sztukę tkacką.

— Rozmawiał MARIUSZ A. JAKUBOWSKI

## KSIĄŻKA

# TRZECH PANÓW JEDNA PANI I CO Z TEGO WYNIKŁO

Ostatnia, piąta książka K. Dackiewiczowej nosi tytuł „O Francji, o tęsknocie, czyli każdy kochał inaczej” — tytuł więc roztropny, zapewniający planowanie lektury między magazynem „Wszystko dla pań” i dziełami różnych harnasiów. Rzecz ma się tym lepiej, że zapowiedź pozostaje nie spełniona. W owej składance Francja jawi się bowiem tylko jako nazwa lub pojęcie, miłość okazuje się miłością, jako testy noty sporo, ale nie w książce — u czytelnika.

Cóż więc otrzymujemy pod firmową etykietką, rozciągając się, w zgodzie z prawami handlu, z cechami towaru? Gdyby pozostać na intencjach autorki — zapewne kolejny tom z serii: Paryż i romantyzm Polacy (boć byli już: „W romantycznym Paryżu”, „Paryż zdradzony czyli Izabela Czartoryska”, „Belwederek w Paryżu”). Temat to nie tylko ciekawy, lecz i ważki. Próba przesiedlenia kontaktów i związków naszych mniejszych i większych romantyków z całą odmienną rzeczywistością społeczną, polityczną i kulturalną ówczesnej „stolicy” świata może znacznie dopełnić i rozszerzyć wiedzę o tamtej epoce.

Niestety, najnowsza książka Dackiewiczowej tej szansy nie wykorzystuje. Paryż jest tylko miejscem zamieszkania lub dworcem, pokojem lub hotelem, pocztą adresata lub nadawcy listu. Potrzebny bywa autorce przede wszystkim jako pretekst do ciągnięcia fabuły, stając się wtedy wyłącznie tropem literackim, synekdochą. Oto próbkę: „Paryż dostarczał Krasieńskiemu wrzesień przerożonych”. „I znowu Paryż każę mu cierpieć dotkliwie”.

W gruncie rzeczy autorka sporządziła dość dowolne zestawy różnych przypadków trzech znakomitych ródaków: poety — Z. Krasieńskiego, mecenas artystów, a później księcia (odległość wcale nie tak znaczna) — A. Jelowieckiego oraz generała — Dwernickiego. Tytułami tych trzech części książki oczywiście sugerować się nie należy. W „Zygmunt Krasieńskiego listach paryskich” listy są i także, lecz nie jedynie paryskie. „Paryż księdza Jelowieckiego” poświęcony jest przeważnie Jelowieckiemu, natomiast wcale — stolicy Francji, a z „Generałów romantycznych” prezentowany jest miejscami tylko jeden — Dwernicki.

Nazwiska, sytuacje, fakty, przeplatają się i powtarzają w kolejnych opowieściach, ale nurt przeważający, to dzieje Krasieńskiego, ściślej jego perypetii romansowych ze słynną Delfiną Połocką. Przewaga ta wyraża się też w ilości słów poświęconych trzem bohaterom Dackiewiczowej: Krasieński rozpięra się na 101 stronach, Jelowiecki mieści się z powodzeniem na 79, Dwernickiemu starczyły 22.

Najwartościowszy, moim zdaniem jest szkic o Krasieńskim — może ratuje go właśnie objętość? Jego najbardziej rozbudowana partia, dzieje przesyłanej miłości, zmierza jawnie i nieuchronnie do rozczulającego finału: niewierny wraca do wiernej — „aniola”, po drodze autorka sprawnie egzekwuje z Krasieńskiego przyznanie się do błędu: „Bóg i najdroższy mój obłogostawili mi Eliza — bez niej lub z inną bym przepadł”. Ale zmieściła się szczęśliwie na początku bardzo ciekawa próba spojrzenia na czasy napoleońskie oczami żon herosów, rychło matek synów, zrodzonych w gwałcie i do świetności przygotowywanych (interesująca jest też lista analogii między Zygmuntem a Orlakiem).

Część poświęcona Jelowieckiemu toczy się zbyt wariako, obfitując w pospieszne, upraszczające uogólnienia („wydawca był rzutkim, znakomitym”); bąduje do tego na mniejsze już ilości materiałów, przy czym obydwa podstawowe źródła: pamiętniki i listy do Ksaweryny Chodkiewiczowej są i ciekawsze i łatwiej od dawna dostępne. O „Romantycznych generałach” zmieścić leniej, konsekwentnie o Dwernickim trafił do książki bodaj jako dokładka do wagi (czytaj: arkusza wydawniczego).

Dackiewiczowa korzystała w swych rekonstruujących przeszłość opowieściach z głosnej ostatnio metody Marianna Brandysa. Próbowała scalić z dokumentów epoki wspartych wysiłkiem interpretacyjnym portrety ludzi tamtych lat. Można by z łatwością zestawiać katalog analogicznych cech warsztatowych. Efekt? Oto ten sam trop, rzecz o tej samej rzeźbie Wincentego Krasieńskiego:

„Pod misternie trefionymi loczkami frzury a la Tite — wysokie madre czoło intelektualisty. Wypukłe łuki brwiowe, często spotykane u ludzi nadmiernie ambitnych i upartych,

Pięknie sędziwy męski nos nad kapryśnymi ustami o pulchnych kobiecych wargach. W odetych policzkach pycha i próżność. W wyrazie twarzy powaga statysty, a przy tym hedonistyczne umiowanie przyjemnego, łatwego życia” (Brandys).

„Popierście przekazuje (...) jego ówczesne zadowolenie z siebie, jego męską zalotność — włosy pieczołowicie zamknięte w loczki drobne, a la Titus — z oczu, ze zmysłowych ust wyciera dumą, niezłomną wolą, chęć doznania wszelkich życiowych rozkoszy” (Dackiewiczowa).

O porażce Dackiewiczowej zdecydowało jednak nie pióro. Brandys usiłuje przypomnieć twórcę historii w całym niejednoznacznym bogactwie postaw i czynów. Jego naśladowczy i upraszczający; znamienne, że jak refren snuje się przez książki, powtarzane niezaczoną ilość razy, słówka „zaiste” — pięćć niepodważalnie oczywistości. Brandys mozaicę się z rozumieniem przedrostek, by przez to zrozumieć proces historyczny, pochyla się nad każdą postacią z dociekliwością. Dackiewiczowa — z litością. Jej bohaterowie są przede wszystkim biedni. „Biedna Eliza”, „Biedny, przeczulony Krasieński”, „Biedna Celina” (Mickiewiczowa). Biedny Krasieński, zmęczony jaskrawa plotka”.

Litość jest wyłącznie postawą, a nie formą poznawczej aktywności.

Wydawnictwo czule ościsło się — z wroczą dobrym los — pozycja: 20 tysięcy nakładu i w oprawie — płótno. Dodatkową atrakcją są raz tłumaczone, a raz nie — teksty francuskie. Rozbawiają też czytelników rowelacje, jak choćby ta, że Kajetan Koźłomian donosił z Francji swemu bratu (Janowi!): „Wczoraj przeżyłem dzień piękny w życiu, poznałem Mickiewicza”.

Zaiste — można się popłakać (ze śmiechu!).

WIESŁAW PUZ

K. Dackiewiczowa: O Francji, o tęsknocie, czyli każdy kochał inaczej, WŁ Łódź 1974.

## MUZEA

# PABIANICKI ZAMEK

W 1934 roku w Pabianicach przy ul. Bujak 3 odkryte zostały groby tzw. „kultury grobów kłosowych” z ok. III stulecia p.n.e. Badając teren wokół znaleziska stwierdzono istnienie relikwów dwóch ziemianek. Zawierały one kości bydła domowego, ułamki węgla drzewnego oraz fragmenty ceramiki datowane na X—XI w. naszej ery. O ile odkryte groby świadczą o tym, że już wtedy istniało osadnictwo, o tyle relikwii ziemianek z dużym prawdopodobieństwem wiążą osadę z wczesnośredniowieczną osadą otwartą egzystującą na terenie opola chropskiego, znanego ze źródeł pisanych w końcu XI w.

W połowie XIV w. Pabianice otrzymały prawa miejskie. Fakt ten akceptującej ważną pozycję osady na szlaku Łęczycza — Kraków wpłynął zasadniczo na jej rozwój.

Rozwój przemysłu tekstylnego w Królestwie Polskim stworzył nowy etap w dziejach miasta. W połowie XIX wieku stają się Pabianice jednym z najważniejszych ośrodków tworzącego się łódzkiego okręgu przemysłowego.

W 1939 roku 25-tysięczne Pabianice otrzymały prawa miasta wydzielonego. Po wojnie nastąpił szybki rozwój miasta. Powstały nowe zakłady pracy, dzielnie mieszkaniowe, urządzenia komunalne. Obecnie Pabianice są największym po Łodzi miastem na terenie województwa.

Jeśli dziś przyjedzie się z Łodzi do Pabianic tramwajem, to jeden z pierwszych przystanków wypada przed budynkiem, który należy do najciekawszych obiektów zabytkowych miasta.

Długosz w „Liber beneficiorum diocesis cracoviensis” wspomina o istnieniu w Pabianicach dworu mieszkalnego, w którym rezydowali reżeni kapituły. Była to zapewne „wieża” murywana. W końcu XV w. otrzymała ona umocnienia ziemne. Dalsze prace podnoszące obronność dworu pabianickiego prowadzone były również w XVI w.

W 1556 r. kapituła krakowska wydała uchwałę o budowie na miejscu „wieży”

nowego, okazałego domu. Budowa rozpoczęła się w 1566 r. i trwała do 1571 r., budowniczym był Wawrzyniec Lorek. Źródła pisane świadczą o dużej trosce kapituły, o to, aby fortelicja pabianicka miała walory obronne. Ustanowiono straż zamkową złożoną z 10 zbrojnych jeźdźców, budynek otoczono przykopem, przekazano dwa 6 armat i uzbrojenie dla 30 ludzi.

Do roku 1796 dwór pabianicki pozostał ośrodkiem administracji kapituły. W 1883 przejęty został dla potrzeb władz miejskich pełniąc funkcję ratusza.

Dwór pabianicki jest przykładem polskiego dworu z drugiej połowy XVI wieku. Zasadniczy korpus budynku stanowi prostokąt o wymiarach 13x18 m. Od południowego-zachodu i północnego-wschodu przylegają doń alkerce, a mniej więcej na osi elewacji zachodniej znajduje się prostokątny ryzalit. W alkerzu północnym dwie strzelnice szwedzkie stwarzały możliwość prowadzenia ognia wzdłuż ścian budynku.

Wnętrze posiada skromny program użytkowy, charakterystyczny dla tego rodzaju budynków. Ciekawy wystrój zewnętrzny, zwłaszcza atyka nawiązująca do typu renesansowego z II połowy XVI wieku w Małopolsce.

Dziś w pabianickim dworze rezyduje muzeum regionalne. Jest to jedno z najstarszych muzeów na terenie województwa łódzkiego. W 1907 r. z inicjatywy dr W. Eichlera i w oparciu o jego zbiory utworzono muzeum w pomieszczeniach Miejskiego Domu Kultury. 20 maja 1948 r. Muzeum Miejskie w Pabianicach otworzyło swe wystawy w przekazanym dla jego potrzeb budynku XV-wiecznego dworu.

Pabianickie muzeum jako jedno z nielicznych w naszym województwie posiada dział przyrodniczy. Kilkaś eksponatów głównie z zoologii przedstawia w ujęciu ewolucyjnym przegląd fauny Polski środkowej. Dużą atrakcją muzeum jest również kolekcja afrykańska. Tak ciekawymi zbiorami z dzie-



Rys. J. Ratajczyka

dziny etnografii egzotycznej nie może się pochwalić żadne muzeum na terenie województwa. Ekspozycje z Afryki środkowej a wśród nich kostium czarownika, przedmioty codziennego użytku, ozdoby, broń, tworzą ciekawą kolekcję, zawsze z wielkim zainteresowaniem ogladana.

Ciekawe wystawy prezentuje dział archeologiczny muzeum. Prowadzi on badania wykopaliskowe na terenach powiatu łaskiego.

Szeroko znana i wysoko ceniona jest działalność oświatowa muzeum. Opieką nad Ogólnomięjskim Kolem Amatorów Plastyków ma już wieloletnią tradycję, a doroczne wystawy w Muzeum są stałym punktem w planach pracy tej placówki. Muzeum stworzyło sprzyjającą atmosferę dla grupy interesujących się fotografią, obecnie działa już Pabianickie Towarzystwo Fotograficzne. Od dawna istnieje Muzealna Drużyna Harcerska biorąca aktywny udział w pracach muzeum. Na uwagę zasługują szeroka współpraca z Biurem Wystaw Artystycznych w Łodzi i rola Muzeum w propagowaniu osiągnięć plastyki współczesnej.

Nie można się dziwić, że przy tak intensywnej działalności zabrakło Muzeum w Pabianicach „przestrzeni życiowej”. Stary, zabytkowy dwór okazał się za mały. Dzięki zrozumieniu ze strony władz miejskich przydzielono dla potrzeb muzeum budynek sąsiadujący z obecną siedzibą. Prace remontowe trwają, ale już gotowe są plany użytkowania nowych pomieszczeń. Powstanie Studium Wiedzy o Sztuce połączone z koncertami i projekcjami filmowymi, projektuje się zorganizowanie licznych wystaw czasowych z zakresu sztuki, historii, etnografii, przyrody. Większa powierzchnia użytkowa usprawni działalność pracowni konserwatorskiej, powiększą się magazyny.

Już niedługo więc pabianickie muzeum otworzy nowe wystawy w wyremontowanym budynku. Dobrze się stało, że ta zasłużona placówka kulturalna otrzymała wreszcie właściwe warunki do pracy.

JERZY AUGUSTYNIAK

Przemknęły za oknami wagonu skały i wawoży Tyrolu, ostatnia stacja austriacka Feldkirch, pociąg zatrzymuje się w Bucha, granicznej stacji, i oto jestem na ziemi szwajcarskiej.

Wsiadam w Zurichu. Nie jest to już ta oszalała feeria wiedeńskiej Kärntnerstrasse czy Mariahilfer, ale samo krążenie wśród tych wspaniałych wystaw wszelkiego rodzaju i niezliczonych kolorowych reklam i światła sprawia prawdziwą przyjemność.

1. Ruch ogromny. Zurich to największe miasto w Szwajcarii, ponad półmilionowe. Po szerokich ulicach w centrum rusza wraz ze zmianą sygnału kilka rzędów samochodów. Często regulują tu ruch kobiety. W Zurichu i w Winterthur jest największe skupisko Polaków, przede wszystkim pracowników fizycznych. Jak w miastach przemysłowych, gdy poszczególni stali mieszkańcy Polacy ze sfer naukowych lub arystokratycznych osiedlili się raczej w miastach południowych.

Przy bardzo interesującym Ogrodzie Lodowcowym, w którym odkryto wyłobienia tzw. młyny dokonane przez topniejące lodowce, znajduje się w pieczarze skalnej nad stawem piękny pomnik wyobrażający lwa przebitego grottem, według pomysłu Thorwaldsena, upamiętniający gwardię szwajcarską, która poległa w Tullierach w czasie Wielkiej Rewolucji. Łaciński napis głosi: „Wierność i dzielność Helwetów”. Ponieważ Szwajcarzy ci przyjęli służbę u króla francuskiego, uznali, że muszą ją wypełnić, ginąc do ostatniego żołnierza. Niewątpliwie oznacza to solidność przyjątego na siebie obowiązku, więc tę uczciwość i odwagę żołnierską ceni pomnik.

2. W Gletschergarten jest jedna zabawka, jakiej nie widziałem nawet w przedwojennym Praterze, ani w innych Lunaparkach. Labirynt lustrzany, w którym krąży się ciągle wpadając na swoje odbicie. Wreszcie widać przedostając się do salki lustrzanej w stylu niby mauretańskim, gdzie się już widzi siebie wokół w kilkuset odbiciach, w coraz dalszych, w najrozmaitszych odchyleniach, powtarzający każdy ruch, zwiokrotniony. Czyny to arcyzabawne, ale aż niesamowite wrażenie, bo też w małej salce krąży wokół nieprzebrany tłum dzieci.

Zauważyłem, że rozkład jazdy jest tu tak ułożony, aby turysta mógł dobrze się wypocząć, spokojnie zjeść śniadanie i jechać dalej o niezbyt wczesnej godzinie. W nocy pociągi nie kursują, nawet międzynarodowe dojeżdżają przed nocą. Oprócz szwajcarskich kolei należących do SBB, Schweizerisches Bundes-Bahn, kursują także pociągi należące do Francuskiego Towarzystwa Kolejowego, mające osobne dworce. W Olten przesiadam się z głównej trasy na pociąg osobowy. Ceny są te same na pospieszne, co na osobowe pociągi, tylko że ekspres nie zatrzymuje się na mniejszych stacjach.

3. Przyjeżdżam do Solury. Trudno nie być w Solurze, jeśli się jest w Szwajcarii. To tutaj przy Gurnzelgasse, tuż obok placu z wieżą zegarową spędził swoje ostatnie lata Kościuszko. W dwupiętrowej kamienicy znajduje się Muzeum Kościuski. Na froncie płaskorzeźba z podobizną

Naczelnika i dwie tablice marmurowe z polskim i szwajcarskim napisem.

Mieszkająca obok muzeum starsza pani, niezwykle grzeczna, otwiera mi pokoje, objaśniając z pietyzmem zebrane, liczne pamiątki, a dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, odnosi się z prawdziwą serdecznością. Zresztą na ogół wszyscy Szwajcarzy przekonują się, że mają do czynienia z Polakiem, okazują mi sympatie.

Drugi pokój urządzony tak, jak pozostawił go Kościuszko, Biureczko, na nim gęsie pióro wetknięte w pia-

wiele pomników sławnych poetów, którzy tu przebywali, natomiast nie ma nawet pamiątkowej tablicy dla największego wśród nich, który właśnie stworzył najpiękniejszy w literaturze świata szwajcarski poemat miłosny.

Wystawy błyszczą od złotych przedmiotów, cacek wszelkiego rodzaju, no i przede wszystkim zegarków, których rozmaitość nieprzebrana. Przemysł zegarmistrzowski rozpoczął według autentycznego zdarzenia w ubogiej wówczas Szwajcarii w XVII wieku terminator kowalski, Daniel Jeanrichard we wsi La Sagne,

nie, musiałem poczekać w pobliskiej kafejce do 2-giej, bo od 12 do 14 wszystkie instytucje są zamknięte, nie wyłączając zabytkowych kościołów. Wszyscy jadą wtedy na obiad.

Na półkolistej Avenue de Riviera wznosi się prócz innych, supernowoczesny kilkunastopiętrowy hotel Eutrotel. Quai des Fleurs rzeczywiście mieni się od wszelkiego rodzaju kwiatów, roślin w skalnych obramowaniach, wśród platanów, tu, palm, topoli i naszych najpiękniejszych brzoź oraz rozłożystych wierzb. Z jednej strony błękit jeziora, białe żagle i mewy, z drugiej wille i luksusowe hotele w ogrodach i miasto wznoszące się aż na zbocze górskiego pasma.

Niezwykle malowniczy zamek Chillon na wysepce tuż przy bulwarze, jest krajobrazowym zamknięciem nadbrzeża. W salach o tajemniczych przejściach starodawne urządzenie, zbroje, a w dole lochy podziemne. W jednym z nich z małym otworem na jezioro i otworem u góry do zrzucania pożywienia męczyl się sześć lat przykuty do muru więzień Chillonu, ofiara dawnych walk. Bo przecież kraj ten, tak trzeźwy dzisiaj, zespolony w najpewniejszej zgodzie z trzech narodowości, miał ongiś bardzo krwawe, wojownicze dzieje, a nieraz prowadził wzniosłe walki o wolność. Dziś Szwajcarzy pójdą w niedzielę do muzeów i oglądać może z dumą, ale przede wszystkim ze zdziwieniem te nieprawdopodobne historie.

7. Jadę autobusem do Vevey, a wysiadłszy na ostatnim przystanku, zapytuję konduktora o Jordan Musee Jenisch. Zatrzasnął się, że pojechałem za daleko i prosi, abym jechał powrotnym kursem, za co już nie bierze opłaty. Na właściwym przystanku wysiada ze mną na ulicę i objaśnia mi szczegółowo, którymi mam iść ulicami, abym nie błądził. A autobus z pasażerami czeka.

Przed Muzeum Jenischów stoi duża tablica pamiątkowa wystawiona przez mieszkańców Vevey Henrykowi Sienkiewiczowi. W Vevey zmarł 15 listopada 1916 roku jeden z największych pisarzy świata. Przez ostatnie miesiące mieszkał w Grand Hotel Palais, a potem w Hotel du Lac, zorganizował wraz z Paderewskim pomoc dla Polaków, ofiar pierwszej wojny światowej. Pochowany został w miejscowym kościele, do czasu sprowadzenia jego szczątków w 1924 do Warszawy.

8. Lugano nad jeziorem otoczonym górami. Tu już zupełnie nastrój, klimat, roślinność i mowa włoska. Włochy są już po drugiej stronie jeziora. Mały dworzec otwarty na obie strony miasta.

W zabytkowych kościołach z XV wieku Santa Maria degli Angioli główny ołtarz znajduje się za trzema bramami, co jakby z cerkwi, na murze piękne freski ze scenami biblijnymi Bernardino Luini. Gdzieś z boku wynajduję szczególnie fresk jakiejś świętej z nagą piersią, która trzyma na tacy czyjeś oczy. Miasto rozbudowane na zboczach kilku gór. Na dwie z nich, na Monte Bre i dominującą, niezwykle malowniczą Monte San Salvatore prowadzą kolejkę linowe. Po drugiej stronie jeziora, gdzie jeszcze częściowo są miejscowości szwajcarskie, znajduje się również włoska wioska Campione, gdzie turyści jeżdżą zrywać się w kasynie gry. W oddaleniu most wiodący w kierunku granicznej stacji z

Wlochami. W przeciwną stronę, ku Castagnole — plaże i pływania, wille i hotele z własnymi ogrodami schodzącymi nad zatokę.

Trzeba pożegnać piękne Lugano, błękitne jezioro, w którym lśnią strugi słońca i odbijają się białe, nadbrzeżne domy oraz różowe Alpy. Jeszcze z Bellinzony mały skok nad drugie czarowne jezioro, Lago Maggiore. Potem przez Schwyz, Jezioro Czterech Kantonów do Rapperswilu. Małe, przyjemne miasto. Zamek nad jeziorem, na zboczu Jenonki i sarny podchodzą do przegrody, dają się glaskać po głowach. Tu przechadzał się Zeromski, wychodząc z biblioteki polskiej, w której pracował. Zamek wynajął po powstaniu styczniowym Władysław hrabia Plater i założył polskie Muzeum. Zbiory przewiezione w dwudziestolecie do kraju zostały w większości zniszczone przez Niemców. Teraz jest tu znów polskie Muzeum, kustoszem jest mieszkający w Winterthur inż. Zdzisław Prgowski. Górne sale ukazują średniowiecze Szwajcarii, dolne trzy sale obejmują polskie pamiątki. W dwóch przeważają niezwykle cenne zbiory z Powstania Styczniowego, obrazy, pisma, fotografie, broń. Tutaj również dominują powstańcze kartony Grottingera, Trzecia sala zawiera pamiątki z ostatniej wojny, losy żołnierzy polskich, którzy przeszli z Francji do Szwajcarii i tutaj znaleźli opiekę, możliwość nauki i pracy.

9. St. Gallen w uroczej okolicy. Stóg słania stojący na łące, dźwżany z okien pociągu, przypomniał mi kraj. Trzeba być doprawdy Polakiem, aby w przeszłej Szwajcarii zachwyć się stogiem słania stojącym w polu.

W klasztorze benedyktyński jest Słabsbibliotek, jeden z najbogatszych zbiorów ręcznie przepisywanych ksiąg, pierwszych uroków, inkunabułów, psalterzy z VIII i IX wieku. Ciekawe karty, bruliony sprzed wieków, ukazują jak przepisywacze robili próby piór, szkie ziół i liter. Przecież każdą literkę trzeba było wyraźnie wykaligrafować, a kartę pięknie ozdobić z benedyktyńską cierpliwością, nim z tych kart zebrała się cała księga.

W Saint-Gallen odwiedzam ementarz grób Eustachego Świeżawskiego, który wiele ksiąg dawnych i współczesnych pisarzy polskich przełożył i wydał w Szwajcarii i Austrii. Umarł kilka lat temu w czasie, gdy już przenosił się do kraju. Wśród dokonanych przekładów przełożył poemat Słowackiego „W Szwajcarii” a dzieciom szwajcarskim udostępnił słownictwo bań Konopnickiej „O sierocie Marysi i o krasnoludkach”.

Swoją drogą żalossne są tutejsze ementarze, malutkie, bielutkie, bez drzew, bez alei, z wąskimi ścieżkami między małymi grobami, takimi, jakie u nas stawia się małym dzieciom. A i te podobno bardzo są drogie. Widać, że praktyczni Szwajcarzy nie przykładają wagi do spraw nie związanych ściśle z życiem i wygodą.

10. Jeden ze Szwajcarów w rozmowie ze mną mówił, że Szwajcaria jest krajem ubogim, z której tylko dzięki pracy wydobywają pieniądze, a natomiast Polska jest krajem bogatym, wielkim, ma skarby naturalne, kopalnie, żyzną ziemię. Nie przeczyłem mu. Pożegnawszy St. Gallen i piękną Szwajcarię, pojechałem przez Tyrol, Salzburg i Wiedeń do kraju.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

## P O D R Ó Ż



sek, przy oknie z widokiem na całą ulicę, na której stoi studnia ze starożytnym, złocym rycerzem. We wnętrzu sypialnianej pod baldachimem łóżko, na którym dokończył ofiarne życie, odkryte sztandarem z Białym Orłem. Nad łóżkiem wieczna lampka pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

4. Miasto nad Aarem, spokojne, na ulicach targ kwiatów i jarzyn, a jasna, lśniąca nowoczesność harmonijnie wpleciona w starożytność. Jest tu jeszcze aleja Kościuski z kaplicą i cmentarzem polskich żołnierzy oraz w nowej dzielnicy pomnik Kościuski.

W Starym Mieście, unowocześnionym współczesnym życiem, na kilka minut przed uderzeniem godziny na Wieży Dzwonów, „Zygotogeturum”, czekają już turyści na atrakcyjne widokisko zegara z XVI wieku. Pieje kogut, błazen porusza dzwonicami, tańczą niedźwiedzie, przejeżdża korowód, bożek czasu przekręca klepsydrę, a rycerz uderza w dzwon. Na zboczu nad Aarem słizna „wiszące” ogrody. W Muzeum Historycznym ma się przekrój dziejów Szwajcarii. Interesujące jest Berno i robi wrażenie wielkiego miasta, choć ma zaledwie 170 tysięcy mieszkańców, a wraz z przedmieściami 240 tysięcy.

5. Wspaniała Genewa, po Zurichu i Bazylei — trzecie największe miasto. Wyszukałem sobie locum w pensjonacie na Paquis Fleuris, aby zamieszkać w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał kiedyś Słowacki. Paquis było wtedy przedmieściem Genewy, a dziś jest to prawie centrum. Ale też wówczas, jak pisał Słowacki, Genewa była mniejsza od Krzemienia i już wtedy bardzo droga. Dowiedziałem się, gdzie prawdopodobnie stał pensjonat p. Pattey. W Genewie jest

któremu angielski handlarz koni pokazał zepsuty zegarek, pytając czy nie potrafiłby go naprawić. Chłopiec pierwszy raz w życiu widział zegarek, ale był tak chętny, zdolny i pracowity, że podjął się i naprawił. A potem podobno sam z pamięci skonstruował nowy zegarek. I tak się niewinnie zaczął przemysł, który stał się jedną z podstaw bogactwa się kraju. Nie trzeba zapominać i o Polaku Patku, zapewne Patyku, emigrancie po 1831 roku, który, rzucony w nowe trudne warunki życia, z pracy własnych rąk stworzył z czasem wielki zakład zegarmistrzowski w Genewie, a którego zegarki osiągały dziś na licytacjach ogromne sumy.

Już Cezar odbył tu pierwszą konferencję z Helwetami, może dlatego do Genewy zjeżdżają się politycy z różnych państw, aby porozmawiać o bie o polityce. Miejsce jest zresztą wymarzone na wszelkiego rodzaju konferencje. Niemniej jednak w Genewie powstała już w 1864 ważna, humanitarna instytucja światowa. Czerwoną Krzyż. Powstała z inicjatywy Szwajcarów. Ten naród ludzi interesu, oszczędnych, zbierających pieniądze, w których widzą główny cel życia, ma jednak wiele inicjatyw humanistycznych i w ważnych sprawach śpieszy z pomocą innym społeczeństwom.

6. W Morges, dawnej siedzibie Paderewskiego, znajduje się w parku pamiątkowa tablica. Lozanna robi wrażenie miasta uniwersyteckiego, tyle tu studentek i studentów rozmawiających rozmaitymi językami. Przedziwne miasto na różnych kondygnacjach, ciągle się wchodzi w górę lub schodzi w dół. Ze stacji prowadzi za 30 grópów kolejka z windą, z której wychodzi się do centrum miasta lub stąd wyjeżdża na dworzec. Wysoko na górze potężna kolumnowa katedra. Ponieważ przyszedłem w połud-

## KOMUNIKACJA

# K O R E K T A

Kiedy w lipcu ubiegłego roku wprowadzono w centrum Łodzi nowe zasady organizacji ruchu, zmotywowana część społeczeństwa, i to niezależnie od tego, czy pojazd należał do tzw. prywatnych czy do państwowych środków transportu, podniosła zgodnym chórem lament. Łódź, której ciasne, wąskie ulice nigdy nie ustwały kierowcom poruszania się po mieście, teraz stała się jeszcze bardziej trudna do przejeżdżania. Obok głosów protestu natychmiast pojawiły się anegdoty. Podobno kierownicy baz transportowych w innych rejonach kraju wysyłali na trasy wiodące przez Łódź tych kierowców, którzy im się szczególnie narazili. Za karę. Najwięcej zastrzeżeń zgłaszano przede wszystkim do skrzyżowań równorzędnych, a to głównie na ulicach: Nowolki, Tuwima, Struga, Sienkiewicza, Wólczańskiej, Kilińskiego. Wprowadzona równorzędność ulic tłumaczono względami bezpieczeństwa. Ale dzięki temu Łódź stała się miastem praktycznie prawie bez żadnego ciągu komuni-

kacyjnego, który by pozwolił na szybki przejazd przez miasto i to zarówno w kierunku z północy na południe, jak i ze wschodu na zachód.

W połowie jesieni ubiegłego roku problemami nowej organizacji ruchu zajęła się prasa, radio i telewizja. Przekazywano pod adresem Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi krytyczne uwagi, postulaty czytelników, słuchaczy i widzów Wydział Komunikacji obiecywał ich przeanalizowanie i ewentualną korektę.

W styczniu bieżącego roku korekta była gotowa. Postanowiono, że podobnie jak to było z wprowadzeniem nowej organizacji ruchu, tak i teraz korektę wprowadzi się etapami.

Na czym polegały zmiany w nowej organizacji ruchu kolejowego w śródmieściu?

Przed wszystkim zniesiono około 30 skrzyżowań równorzędnych, na około 80 uprzednio wprowadzonych. Pierwszeństwo przejazdu otrzymały:

- ulica Nowolki między ulicą Uniwersytecką i Kilińskiego.
- ulica A. Struga — od Towarowej do Zeromskiego,
- ulica J. Tuwima — od ul. Kilińskiego do Kopeńskiego,
- ulica Kilińskiego między Przybyłowskiego i Północna,
- ulica Sienkiewicza — od ulicy 8 Marca do ul. Głównej,
- ulica Wólczańska — od Świerzeżewskiego do Pabianickiej.

Tranzytowa trasa „E-16” przeniesiona zostanie na ciąg ulic: Al. Politechniki, ul. Świerzeżewskiego, Towarowa, Letnia. Wiąże się to z rozpoczęciem się przebudowywania skrzyżowania ul. Zeromskiego i Mielkiewicza.

Zniesiono również zakaz skrętu w lewo z ulicy Piotrkowskiej w ulicę 22 Lipca i Traugutta oraz z ulicy Piotrkowskiej w ulicę Roosevelta.

Przywrócono ruch dwukierunkowy na ulicach Wigury, 8 Marca, Millonowej i Tarzowej — na odcinku Fabryczna — Kilińskiego.

Na skrzyżowaniu ulic Wólczańskiej i Mielkiewicza zainstaluje się sygnalizację świetlną, a wzajemnie zsynchronizowaną sygnalizację otrzymają trzy skrzyżowania ulicy Zeromskiego z ulicami:

### 1 Maja, Więckowskiego i Próchnika.

Ze zmian dotyczących ulicy Piotrkowskiej trzeba jeszcze wymienić dopuszczenie jazdy na wprost z ulicy Piotrkowskiej przez skrzyżowanie z ulicą Główną w kierunku południowym. Dla ruchu tranzytowego ulica Piotrkowska pozostanie nadal zamknięta. Zdecydował o tym priorytet masowej komunikacji miejskiej, czyli mówiąc prościej — umożliwiono autobusom MPK plynąć przez jezdnię centralną ulicą miasta. Gdyby jeszcze MPK zechciało przejechać się tam, to musiałoby i usprawnić ruch autobusów na tej ulicy. Ale przez te pół roku funkcjonowania nowej organizacji ruchu kolejowego na ulicy Piotrkowskiej bardzo często można było zaobserwować, jak autobusy linii „57” i „C” kursowały stadami. Przyczyną, którym tłumaczy się MPK znamy już na pamięć. Po pierwsze — brak kierowców. Po drugie — brak autobusów. Gdyby jednak można było w jakis racjonalny sposób rozwiązać kwadraturę koła, wynikającą z wzajemnych powiązań przystanków i skrzyżowań na ulicy Piotrkowskiej między Pl. Wolności a ul. Główną, to może by coś z tego wynikało z korzyścią dla pasażerów.

Korekta organizacji zasad ruchu w centrum Łodzi na pewno ucieszy kierowców. Trudno jednak skwitować ją bez pewnych refleksji. Czy rzeczywiście trzeba było tej korekty? Czy nie można było od razu uniknąć błędów? A gdyby tak przed wprowadzeniem w lipcu ubiegłego roku nowej organizacji ruchu zasięgnąć opinii kierowców? Wspólna wyobraźnia pozwoliłaby na uniknięcie błędów, zaoszczędziłaby niepotrzebnego zamieszania. Można było też przed podjęciem decyzji przeprowadzić pomiary natężenia ruchu na skrzyżowaniach, które niepotrzebnie otrzymały znak równorzędności. Można było jeszcze to i owo, ale jakoś nikomu to nie przyszło do głowy.

A przecież metodę konsultowania decyzji o społecznym znaczeniu wynechano już dość dawno. Czyżby urzędnicy Urzędu Miasta Łodzi sadzili, że ich ona nie obowiązuje? Jeśli tak, to warto byłoby ich wyprzedać z błędu. Tymczasem możemy tylko strasztować popularne przysłowie: Mądry łodzić się po szkodzie!

BOGDA MADEJ

GENIALNY IDIOTA

Pięćdziesiąt dwa lata temu, w styczniu, w miejscowości Lipnica wysłano do Pragi telegram, którego tekst przypadkiem się zachował:

„Bogusław Haszek, bank Słavia. Przyjeżdżaj do Zapłatem. Czekamy na stacji Okrohlicach”.

Bogusław Haszek przyjechał natychmiast, ale nie ujrzał już swojego brata przy życiu.

I tak w miejscowości Lipnica, powiat Niemiecki Brod zakończyła się życiowa wędrówka Jaroslawa Haszka, czeskiego dziennikarza i pisarza, twórcy najgłośniejszej w współczesnej czeskiej literaturze postaci dobrego wojaka Szwajka.

Postać i życie Jaroslawa Haszka obrósł w legendę, w twórczości której pisarz miał zresztą walny udział. Jego współczesni mieszali fakty i wspomnienia ze zmyślnymi historiami, tak, że zamiast życiorysu powstała tajemnicza legenda. Myślę, że dopiero książka „Wędrówka” Radko Pytlíka jest pełnym i możliwie najwierniejszym zapisem wędrówki Jaroslawa Haszka przez życie. Jest

to już druga książka tego autora o Haszku wydana w Polsce. Pierwsza napisana została na przełomie lat pięćdziesiątych (czeskie wydanie 1962) a wydana u nas przed osmiu laty.

Prosty tytuł „Wędrówka” oddaje jak najbardziej prawdziwie historię tego życia. Była to niestanna wędrówka — poprzez politykę i karykaturę polityki, poprzez knajpy i kraje, poprzez wojny i rewolucje...

Przez całe życie był Haszek otoczony legendą anegdotyczną. Pytlík pisze:

„W pamięci prażan utkwił jako sławetny pijak, dusza artystyczna, twórca słynnej mistyfikacji: Stronnicwa Umirkowanego Postępu w Granicach Prawa. W powszechnej świadomości zapisał się mit humorysty, odżywiający w niezliczonych historyjkach i anegdotach”.

A naprawdę? Któż to może wiedzieć. Dziś, w ponad pół wieku po śmierci Jaroslawa Haszka, można tylko zarejestrować mniej więcej dokładnie jego drogę — można także snuć domysły, jakie były prawdziwe motywy faktów tworzonych przez pisarza w kregu własnej

biografii. A fakty te są nieraz tak zaskakujące, że przeprowadzenie jakiejś spójnej, logicznej motywacji wydaje się niepodobnym wstępnym.

Bo oto kpiarz, bibosz i oczajdusza. A jednocześnie człowiek nieśmiały, uczuciowy i zamknięty. Bo oto cygan i anarchista. A jednocześnie komisarz Czerwonej Armii, który w Krasnojarsku w Wydziale Politycznym kierował sekcją mniejszości narodowych, miał sztab instruktorów, organizował zebrania i wiece, przemawiał, pisał ulotki i wydawał pismo. A jednocześnie — jak wspomina ktoś z ówczesnych przyjaciół — „kiedy rozmowa schodziła na tematy polityczne, trudno było poznać, czy mówi poważnie czy robi sobie szpokę”.

Jaki był naprawdę? Czy to zresztą najważniejsze? Dość, że napisał książkę, która weszła do skarbnicy współczesnej literatury. Reszta jest milczeniem, a może raczej — reszta jest domysłem.

Kiedyś Jan Olbracht w „Rudym Prawie” użył epitetu „genialny idiota” w odniesieniu do Szwajki i jego twórcy, Haszek

wcale się tym nie przejął i powiedział:

„Ja nie jestem genialny idiota. Olbracht bardzo się myli. Ja jestem zupełnie zwyczajny idiota”.

Radko Pytlík pisze, że nie można tego olbrachtowego sprostowania zbyć jedynie żartobliwym aforyzmem. W wyrażeniu „genialny idiota” jest bowiem zaszyfowana dialektyka typu Szwajka. Wyrasta ona z historycznej przewagi systemów mocarstwowych nad człowiekiem. W absurdalnej, krytycznej sytuacji następuje zrelatywizowanie wszelkich wartości. Swoim „genialnym idiotyzmem” dowodzi Pytlík, broni Szwajkę nie tylko własnej skóry. Broni także elementarnej zdolności człowieka do pozostania sobą. Na przykład dziejowemu totalizmowi.

Podobnie Jarosław Haszek. Umiał zrozumieć absurd i umiał go przeżyć. Na tym polegała istota jego światopoglądu: sensem życia nie jest ofiara, sensem życia nie jest walka o władzę. Sensem życia ludzkiego jest żyć.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WIGWAM PRZED OPERĄ

Świętym publicyście „Kultury”, znany także wielkim rzeszom telewidzów — Aleksander Malachowski — udzielił niedawno nagany tym czynnikom, które dopuściły do usunięcia ze śródmieścia Łodzi, z samej ulicy Piotrkowskiej, straszliwych parterowych chalupek, które przed setką lat stały sobie przy ówczesnym wielkim trakcie ówczesnej Łwaczki. Gdzie teraz młode pokolenia zobacza, jak mieszkali ich dziadkowie?

To prawda, że w charakterze zabytków w zakresie budownictwa konserwujemy pałace, monumentalne świątynie i warowne zamki. Ktoś może pomyśleć — obawia się Malachowski — że wszyscy ludzie mieszkali w pałacach i że nasze metrze to powszechna niedza i upadek. Wspomina o jakimś potwornym robotniczym okrągłakur bez okien w Olkuziu, który także — jego zdaniem — trzeba było zachować ku pamięci, o kurnych chatkach, które zniknęły bezpowrotnie, zacierając i fałszując prawdziwy, historyczny obraz polskiej wsi.

Czytaliśmy już o konieczności zachowania przy życiu — droga bardzo a bardzo poważnych nakładów — drewnianych walcących się willi przy krynickim deptaku, i drewnianych pensjonatów z filarkami w Muszynie, i straszli-

wych łódzkich czynszówek na zapleczu Piotrkowskiej o podwórkach, do których nigdy nie dochodzi światło dzienne. I czytaliśmy bardzo wiele gorzkich, cierpkich słów o nowo budowanych domach podmiejskich, inalemiejskich i wiejskich — że nikt budując je nie myśli o żadnym stylu, że są żadne, paskudne, idiotyczne i nie adekwatne.

Cieszę się każdym fragmentem świata, przypominającym mi młodość, rad bym zwołać proces przekształcania się tego świata, alechby mnie nie przeganiał, niechby dawał złudzenie większej stabilności. Nieraz mówię o tym w swoich felietonach. Ale przecież trudno mi się opętać od myśli, że tamte drewniaki w Muszynie i Krynicy, tamte chalupek i ofiary czynszówek przy Pietrynie budowane były właśnie tak, jak dzisiejsze „nowoczesne” jednorodzinne domostwa, a nawet — jak dzisiejsze „nowoczesne” mrowkowce: bez myśli o stylu, brydki. Czy za pół wieku znów felietonista w „Kulturze” będzie zaklinał, aby nie z tego nie ruszał?

To ostatnie pytanie nie jest wzięte z powietrza. Hełz to już razy akcje ochrony zabytków budowlanych w poszczególnych przypadkach uzasadniano, popierano gorzkim argumentem, jak choćby w odniesieniu do Krynicy:

zreżona nad strugą w znajomej si w dziedzinie wiosce! Pieni był wysiłany na wysoki polsk tyśamiakami bosych stóp, jakie po nim przeszły w ciągu paru dziesięcioleci, miał sterczącą w górę gałąź służącą jako poręcz i jako przyrząd gimnastyki dla chłopaków. Czy należało tę kładkę zachować, żeby dzisiejsi chłopcy wiedzieli, jak ich dziadkowie przekraczali strugę?

Czy trzeba było zachować straszne kocie lby na Kilńskiego i jeździć po nich na żelaznych obrotach, bez czego nigdy już nie wyobraźmy sobie jaki to czyniło halas w „godzinach szczytu”, to znaczy o świcie, gdy z bocznic kolejowych wieszono węgiel do fabryk łódzkich? Proszę bardzo, niech sobie będzie to wszystko, ale w muzeum. Nie chcielibyśmy chyba zamieniać całego kraju w jeden wielki skansen i z dbałości o przekazy historyczne nie tyle żyć, działać, rozwijać się, kreślić plany i perspektywy, ile ciułać nieustannie dokumentację tego co było dla nie wiadomo kogo. Dla turystów?

To ostatnie pytanie nie jest wzięte z powietrza. Hełz to już razy akcje ochrony zabytków budowlanych w poszczególnych przypadkach uzasadniano, popierano gorzkim argumentem, jak choćby w odniesieniu do Krynicy:

PROPOZYCJE

POMYŚL ZA 3 LUDWIKI

Przyseł do mnie przyjaciel, rozsiadł się wygodnie i powiedział:

- Mam dla ciebie pomysł, — Za ile? — Zapytaj raczej, jaki? — Twój własny? — Tak. — No to nie nadzwyczajny. Powiedz więc, za ile? — Za 3 ludwiki. — Przeproszę, za co? — Za 3 ludwiki. No, za trzy nowe setki. Nie wiesz? Jeden mikrotaj to dwa ładusie albo 10 ludwików. Proste. — Sam to wymyśliłeś? — Nie. Opowiedział mi znajomy. — No, a pomysł? — Mój. — To wiem, ale jaki on jest, ten pomysł mianowicie. Czego on dotyczy? — Jest to mój uniwersalny pomysł na krytykę. Oto próbka. Można powiedzieć recepta, schemat. Bierzesz tylko ten schemat, zmieniasz niektóre wyrazy i możesz przy jego pomocy krytykować wszystko. Możesz krytykować bezpiecznie! — I zapewne bezskutecznie. — To już inna sprawa. Gwarancji nie udziela się. A sam wzór jest prosty. Piszesz:

„Pewien dziennikarz w pewnej gazecie skrytykował pewną panią, która była sekretarką pewnego pisarza, który umarł. Ta pewna pani publikuje teraz spuściznę po tym pewnym pisarzu jako produkcie własna, ale własny tekst tej pewnej pani jest minimalny”.

— W pewnych płasmach, — Ale w jakich? — O, mój drogi — obrzył się na to mój przyjaciel — jeśli pewien dziennikarz, pewnej gazety nie chce wymienić ani nazwiska pewnej pani, ani tytułów pewnych pism, ani nazwiska pewnego pisarza, który zmarł niedawno, to wybaczyć, ale dlaczego ja mam wyśledzić i powiedzieć ci, o kogo i o co chodzi.

— To po diabła proponujesz mi ten sposób krytykowania? — Bo jest on bardzo prosty i uniwersalny. O wszystkim można napisać „pewien”. Na przykład: pewien dyrektor pewnej fabryki produkującej bubie. Ty masz spokój, nie sumienie, bo rzec skrytykować, a nikt nie wie o kogo chodzi. Jeśli nawet jakiś dyrektor weźmie to do siebie, to być może pomartwi się przez dzień, dwa, a później zapomni. Tak dalece ta metoda pisania weszła już wam, dziennikarzom w krew niech świadczy fragment felietonu z pewnej gazety powiatowej:

„Do rąk moich dotarło pismo „Pracownik Miejski” — dwutygodnik Zrzeszenia Związków RP, pismo z początku lat trzydziestych. Wyzystałem jak to p w e w i e n (podkreślenie moje — M. R.) dygnitarz miejski tamtego okręgu o świadczył wręcz, że Polska cierpi na nadmiar inteligencji...”

Ten dygnitarz działał w pewnym mieście przed przeszło 40 laty, ale oiszedz nawet dziś wzdryga się przed wymienieniem go z nazwiskiem, choć to już historia i byłaby to wzmianka o tylko historyczna. Nawet gdyby ten dygnitarz żył

jeszcze, to — starowinka — nawet by się na to nie obruszył, ale za pewnie niezapomniałby się, że ktoś o nim wspominał.

— Ale ty też używasz ciągle słowa „pewien”. — A dlaczego ja mam być gorzki?

— Wobec tego, to nie jest twój pomysł. Popelniasz plagiat i nie ma mowy o żadnych ludwikach. Nawet 10 złotych ci nie dam.

— Mylił się, mój drogi. Ja dokonalem systematyzacji, opisałem zjawisko, wytworłem prawidłowości, podniosłem metodę stosowaną żywiołowo do ransu uogólnienia. Tak przecież postępuje wielu ludzi, mieniących się pracownikami nauki. Dlaczego ja nie mam otrzymał wynagrodzenia za pracę, jaką dokonałem? Byłaby to, krzyżująca niesprawiedliwość.

— Dobrze — powiedziałem, bo nie chciałem być niesprawiedliwy i posłałem na lampkę wina. Kosztowało mnie to, wprawdzie znacznie więcej niż 10 złotych, ale otrzymał się do nas pewien inżynier, który opowiedział pewną historię, którą opowiedział pewnym wynalazcy, któremu pewna fabryka w pewnym mieście nie chciała wiać tenże, pewnego wynalazcu. Bardzo mi się obrzył na stosunek pewnej fabryki do pewnego wynalazcy.

A swoja droga — pomyślałem już w domu — mój przyjaciel ma rację. Taka metoda zapewni i spokojne sumienie — bo się skrytykowało — i spokojny żywot — bo się nikomu nie naraziło. Ale choć na panie Boże przed taką krytyką, która nikomu nie służy

CWIEK



BOSKA SARA

Wielka aktorka, wielka sława, wielka legenda — Sarah Bernhardt, a właściwie Henriette Rossine Bernard. Jedną z największych indywidualności w historii teatru. Kłóż o niej, komu teatr nieobcy, nie wystarczy? Wśród wielu występów zagranicznych Sarah Bernhardt zawiązała także dwukrotnie do Warszawy, w roku 1882 i 1895.

Czytelnik wręcił właśnie tom jej wspomnień, które obejmują, jak sama pisze, pierwszy etap jej życia. Koncza się w momencie jej powrotu z pierwszego tournée po Ameryce Północnej. Pamiętniki nie zaważa nawet najświatlejszych osób, cieszą się niezmiennym powodzeniem. Trudno sobie wyobrazić, żeby pamiętniki wielkiej aktorki dłużej poleżały na księgarskiej ladzie. Rozczarują się jednak ci, którzy będą szukać we wspomnieniach Sary Bernhardt pikantnych ciekawostek z życia Wielkiej Gwiazdy. Owszem — jest czarna trumna, w której spoczywa, jest podobał się, ale ani słowa nawet o bodaj niewinnym flircie. Słusznie pisze we wstępie Zofia Kucówna — „Zostawiła po sobie mit, legendę, teatr w Paryżu nazwany jej imieniem, trochę pamiętek i paręset zapisanych kartek, które ten mit, tę legendę i podbijają i uameniają. Nie ma kobiety, jest człowiek piel żenskiej” oiarowujący się oltarzowi, któremu na imię „Sztuka”.

Sarah Bernhardt — „Pamiętniki”, przełożyła I. Dewitowa. Czytelnik, Warszawa, 1974, str. 536, cena zł. 40.—

„MODIGLIANI”

„Z wyjątkiem dat zapisanych w dzienniku jego matki i w kronikach rodziny oraz najważniejszych wydarzeń w historii jego życia trudno jest z całą ścisłością ustalić jakiegokolwiek daty dotyczące Modiglianego. Relacje przyjaciół i kolegów są rozbieżne i sprzeczne w informacjach o miejscach i czasie różnych zdarzeń. Sam Modigliani nie miał zwyczaju oznaczania listów i kartek datami, a wielu jego dziełom przypisał datę, arialszani marszanowi, świadomi, że prace rzekomo pochodzące z ostatnich „wspaniałych” lat oczekują najwyższe ceny — pisze Pierre Sichel w swojej książce „Modigliani”. Autor, prozak amerykański, zebrał ogromny materiał dotyczący życia i twórczości Amadeo Modiglianego. W efekcie otrzymaliśmy interesującą, ale i rzecową biografie wielkiego malarza, wokół którego za życia narosło wiele mitów i legend. Pierre Sichel postarał się z powodzeniem przedstawić malarza takim, jakim chyba był naprawdę. Pisze: „Dokładałem starań, aby nie zmieniać, nie zamazywać i nie zniekształcać istotnego ducha Modiglianego w tej relacji o tak burzliwym życiu na ile jego nie zmaconej burzami sztuki”. W książce szczególnie interesujące są te partie, w których autor przedstawia różne opinie i wspomnienia osób, które bliżej znany Modiglianego. Uderza w nich, jak że często, sprzeczność interpretacji, subiektywizm, często świadome zmienianie faktów. W ten właśnie sposób powstała legenda o Modiglianiu. „Legenda o rozpustnym artyście jest tylko legenda” — powiedział Jacob Epstein, rzeźbiarz i serdeczny przyjaciel malarza.

Mimo że dziś bardziej fascynuje nas artystyczna twórczość Modiglianego niż dzieła jego krótkiego, acz niekonwencjonalnego życia, to przecież jego biografia, świetnie zredagowana przez Pierre Sichelą napisana, na pewno szybko zniknie z księgarni. Nawet mimo dość wysokiej ceny.

Pierre Sichel — „Modigliani” — przełożyła: M. Skibniewska, PIW, Warszawa 1974, str. 685, cena zł. 100.—

BEDEKER KASZUBSKI

Zaczyna się od abecadki. Oczywiście, nie tego, którymi w zaraniu nauk szkolnych opanowali, ale od abecadki kaszubskiej, zwanego także „alfabetem”, „hieroglifami” lub „nutami kaszubskimi”. Kto i kiedy je ułożył nie wiadomo, ustalono odczyt pamiętników najstarszego mieszkańca Kaszubi. Chronił przed zapomnieniem języka rodzimego, który w ubiegłym wieku Niemcy. Do wykonania tego przedsięwzięcia potrzebne były pewne akcesoria: tablica z obrazkami będąca ilustracją do rymowanego tekstu i wskaznik. Spiewało się to na melodie trochę monotonna, a przypominało to śpiewną deklamację. I tyle o pierwszym haśle „Bedecker kaszubskiego” ułożonego przez Różę Ostrowską i Izabelę Trojanowską.

Bedecker to przede wszystkim dla turystów, mieszkańców innych dzielnic Polski, choć do razu trzeba powiedzieć, że nie jest to informator turystyczny. Dalej swoje wiedzy o rozległej i pięknej Ziemi Kaszubskiej, o ludziach, którzy się dla niej zasłużyli, i o których Kaszubi pamiętają, o kulturze, obyczajach, gwarze, ważniejszych miastach i miejscowościach, i dlatego, że nie wiadomo, gdzie zdobyły nocleg, których ważny jest nie tyle problem, gdzie zdobyć nocleg i tano zjeść ale przede wszystkim chęć wiedzieć więcej o ziemi, po której wędrują i ludziach, z którymi w czasie wakacyjnych wędrówek przyjdzie się im zetknąć.

Róża Ostrowska, Izabela Trojanowska — „Bedecker kaszubski”, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1975, str. 493, cena zł. 65.—

NARÓD SŁOŃCA

Aztekowie wierzyli, że są narodem wybranym przez słońce. Jednym z wyobrażeń słońca był krewny bóg Huitzilopochtli, dla którego ludzie byli obowiązani dostarczać pokarm. Aztekowie, jako poddani słońca, musieli prowadzić tzw. „wojny kwietne”, które miały na celu zdobycie takiej liczby niewolników, żeby bóg był nasycony ofiarą z nich złożoną. Podstawy i charakter religii azteckiej omawia w swojej niewielkiej książce „Naród słońca” Alfonso Caso. Dla miloszników najdawniejszej historii, dla ludzi, których dzieje późnego państwa Azteków, podbicia i zniszczonego na początku XVI wieku przez konkwistadorów hiszpańskich, frapują jeszcze dzisiaj, książka „Naród słońca” na pewno będzie rarytasem. Tym bardziej że autor przedstawiając religię aztecką nie mógł pominąć wielu interesujących, a ściślej związanych przecież z religią faktów z codziennego życia Azteków.

Szkoda tylko, że starannie wydana przez edytora publikacja, nie zawiera ani wstępu, ani postępu, w którym choć w zarysie przedstawiono by arcydzieła historii i sztuki państwa azteckiego. Nie wiadomo też kto zacytował. Można się sprawdzić domyślić, że mamy tu do czynienia ze specjalistą, ale przecież krótka informacja na obwolutce nie sprawiła chyba wydawcy czy tłumacze większego kłopotu.

Alfonso Caso — „Naród słońca”, przełożył M. Sten. Wydawnictwo Litefakcie, Kraków 1974, str. 97, cena zł. 30.—

DZIEJE IMPERIUM PERSKIEGO

Nie spodziewał się chyba James Henry Breasted, dyrektor Instytutu Orientalistycznego na Uniwersytecie Chicagowskim, że jego decyzja wysłania wielkiej ekspedycji naukowej do badań powierzchniowych tarasowych budowli Persepolis, przyczyni się do zapoczątkowania nowej epoki w odkrywaniu starożytnego Babilonu Wschodu. Badania przekształciły się bowiem w prace wykopaliskowe, które najpierw kierowane przez profesora Ernesta Herzfelda, a ukończone przez dra Eryka F. Schmidta przyniosły niespodziewane i fantastyczne wręcz efekty. Po dwudziestu dwóch wiekach odkryto spod warstw ziemi pasy wspaniałych zachowanych plakozęb, liczne budowli, wśród których był skarbice Dariusza I i Kserksesa oraz harem tych dwóch władców. Odpokano wówczas również mnóstwo tabliczek zapisanych w staropemskim języku, które po odczytaniu przyniosły ogrom wiadomości na temat życia dawnych mieszkańców Wyzny Iranickiej. A. T. Olmstead — historyk orientalista, profesor Instytutu Orientalistyki Uniwersytetu Chicagowskiego miał wielki dostęp do przebogatej źródeł, które pomogły mu w pracy nad książką „Dzieje Imperium Perskiego”. Wydany obecnie w serii ceramowskiej polski przekład dzieła A. T. Olmsteda nie tylko przypomina kolejne dzieła wielkiego imperium perskiego od czasu Cyrusa począwszy, aż do podboju Persji przez Aleksandra Macedońskiego, a więc fakty i wydarzenia polityczne które się powinno pamiętać, ale zawiera przede wszystkim, a dotyczące normalnego codziennego życia Persów, ich bogatej kultury, religii, obyczajów. Okazuje się na przykład, że już wówczas wależono z lapownictwem urzędników. Niby drobiazg, a cieszę.

A. T. Olmstead — „Dzieje Imperium Perskiego” przełożył K. Wolicki, PIW, Warszawa 1974, str. 336, cena zł. 100.—

MARCIN RODAK

# MAGAZYN

ODGŁOSY

Pisałem w blasku srebrnego świecznika siedząc na cembrowinie studni. Opisywałem widzenie głębi, a to, co zobaczyłem, było prawdą wszelkiego życia. Na dnie odbijał się orzeźwiający ogień gwiazd i była widzialna praca żywiołów wprawiających w ruch wody morza; przestrzeń drgała pełnią maleńkich istnień; ziemia oddychała przez źródła i korzenie, średziliśmy soki podnoszące się w roślinach, poznałem okrutną miłość zwierząt, pojąłem nawet zblakany rodzaj ludzki. A skoro tylko to opisałem, w mówiłem sobie zarazem odgadnięcie tajemnicy wszystkich bytów, nie uważając za występki, że wnikam w jestestwo samego boga. Odważyłem się wtedy pomyśleć — a płomień na dnie studni migotał jakby miał nadciągnąć obcy wiatr — że nie trudno jest zrozumieć praprzyczynę wszechświata; można ją wyczytać z obłoków, które we wnętrzu studni tworzyły najgłębiej leżące dno. Nagle stała się ciemność i pojąłem, że srebrny świecznik nie jest już widzialny. Spółzawszy do góry przerażeniem się: świecznik był stracony.

Chodziło więc o to, aby go odszukać bo bez jego blasku nie potrafiliśmy już istnieć. Nie zatonął w studni. Przypuszczal-

## FELIKS BRAUN SREBRNY ŚWIECZNIK

nie zeliżnął się ze skraju cembrowiny i z łatwością odnajdę go w trawach łąki, pośrodku której stała studnia. Ale chociaż skrzętnie schylałem się i trzymałem, choć uporczywie wpatrywałem się i rozglądałem nic nie posrebrzyło murawy. A im więcej się trzymałem, tym mętniej przypominałem sobie, gdzie widziałem świecznik po raz ostatni. Wiedziałem, że użył mi światła przy pisaniu, nie mogłem sobie jednak przypomnieć, gdzie pisałem, zdawało mi się tylko, że było to w domu, który dobrze znałem z tyłu snów mego dzieciństwa.

Wypuściwszy się natychmiast w drogę, dostrzegłem już jego okna błyszczące nocą na rogu dzielnicy staromiejskiej. Wszedłem, brama stała bowiem otworem, wspiąłem się po krętych schodach kamiennych, szklane drzwi pozwoliły mi zajrzeć do westybulu: leżało w nim na jasnych płytach wiele dziewcząt zmożonych lekkim snem. „Czy zdobędę się na odwagę, żeby was zbudzić?”, zastanowiłem się, ale musiałem odszukać dla siebie srebrny świecznik, bez niego nie mogłem daleko żyć. Więc zastuka-

ją, chociaż schody zalegała ciemność. Wówczas dziewczyna uniosła rękę, a jednocześnie w pomieszczeniu pojaśniało. Co trzymała w uniesionej, świecącej ręce, nie mogłem jednak odróżnić. Pośród nieba, na wieży, dziewczyna zwróciła ku mnie oblicze i zobaczyłem w jej oczach wszystko, co zaobserwowałem na dnie studni: prawdę wszelkiego życia; ziemię w zieleni roślin i błękitną pogodę powietrza; biały spadek wody ze skał i złote źródła łaski nad wszelkim istnieniem. Zaśmiała się i wtedy, posłuszny znakowi gwiazd jej oczu, spostrzegłem, że wymachule świecznikiem w uniesionej ręce. Jakże była piękna w tym geście! O wiele piękniejsza niż blask świecznika, chociaż przyćmiewał nawet słońce niebios. Lecz cóż obchodziłby mnie świecznik, gdybym tylko mógł wziąć ją w ramiona. Ze śmiechem cofnęła się powiewając uniesionym wciąż świecznikiem; a ponieważ zapragnąłem przedostać się do niej, opuściła pomiędzy nas niebiańskie światło. Uchwyciłem ją za łokieć chcąc odebrać dobro, a ona ulegała mi, nawiązując się do mnie. Jeszcze raz uniosła świecznik ponad nami, wtedy wypadł jej, a srebrne płomień drasnęły mi czło tak pięknym bólem, że wypuściłem ukochaną z ramion i zbudziwszy się zobaczyłem jeszcze, jak spadający świecznik zablasył w głębinie.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

## PALEC BOŻY



JAN L. KAROLAK

## FRASZKI

OGŁOSZENIE

NIJEDNA...

Chętnie zamienię swoje kieszenie

Niejedna zawdzięcza swej fizyz moralny kryzys

O ZDOLNYM FAKIRZE

I SIEBIE

Już kilka razy był bez twarzy

Jako dobra pani domu nie odmawia nikomu

HORACY SAFRIN

# BAJKI

SPOTKANIE Z PREHISTORIA

GEŚ W ROLI RECENZENTA

Nad puszcza mglista panowała aura, gdy archeolog spotkał dinozaura. Przetarł binokle i zdziwił się szczerze: „Mój dinozaurze, skąd się pan tu bierze? Ze ogon długi masz i grzbiet wysoki, do dyluwialnej należysz epoki!”. Na to dinozaur odparł z leką w oku: „Podczas potopu zagubiłem w tłoku oblubieniec — jaszczurką hoże. Czy nie spotkałeś jej gdzieś, profesorze?”.

O EUTANAZJI

Przycażone pod miotłą, wśród wieczornej ciszy rozmawiały ze sobą dwie rudawe myszy. Jedna drugiej się szepotał tajemniczym zwierza: „Z naszych wrogów najbardziej nienawidzę jeża, co uśmierca nas w sposób bezwzględny i dziki...”. „Od takiego potwora wolę naszą Kizię! Ta ma łapki pulchniutkie, lechące wąsiki i pobawi się z tobą, zanim cię zagryzie...”.

Powracając do domu, zablakana gąska usłyszała, jak słowik w drzew gęstwinie kłaska. I zachnęła się: „Spiewak od siedmiu boleści! Forma gładka, to prawda — lecz gdzie głębia treści, gdzie prostota, gdzie jasność, która się wylania w sposób tak niedwuznaczny z mego gęgania?”.

ESTETA

Wilk stwierdził: „Koń to piękność, to stworzeń ozdoba”. „Co ci się w nim tak bardzo podoba?” — „Wtrobą”.

O SZTUCE WOKALNEJ

W noc serenad miłosnych, tęsknot i omanień trafil kota ciśnięty ręką ludzką kamień. Kot dał susa przez parkan i pomyślał w duchu: „Człowiek świat cały posiadał, ale nie ma słuchu!”.

MARK KASWINOW

23 STOPNIE W DÓŁ...

## KONIEC

Początkowo, kiedy Romanowie zostali przewiezieni na Ural, moskiewskie i uralskie instancje zamierzały zorganizować otwarty proces sądowy nad byłym carem i jego żoną. Prezydium Wszczęzwiazkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego zdecydowało przedłożyć projekt procesu do zatwierdzenia zbliżającemu się V Wszczęzwiazkowemu Zjazdowi Rad. W czasie przygotowań do Zjazdu Góloszczekin z polecenia Rady Uralskiej wyjechał do Moskwy, aby złożyć meldunek o sytuacji na Uralu. Z meldunku i odpowiedzi na pytania wynikało, że sytuacja wojenna w tym rejonie szybko się pogarsza. W związku z tym Prezydium WCKW zrezygnowało z pierwotnego zamiaru oczekiwania — z zatwierdzeniem procesu do czasu Zjazdu i poleciło Góloszczekinowi, po powrocie do Jekaterynburga, przystąpić bez zwłoki do organizacji procesu, tak, aby odbył się jak najwcześniej, przed końcem lipca.

To, że Komitet Wykonawczy i Rada Uralska bardzo poważnie myślały o odbyciu sądu zgodnie z procedurą, prawem i zgodnie z istniejącymi wtedy normami prawnymi, przynajmniej w najzjadliwej z dzisiejszych tzw. so-wietologów.

presja problemów o wiele bardziej palących niż ukaranie Mikołaja byli zmuszeni ciągle odkladać ten projekt, a następnie zupełnie go zarzucić.

„Szybko narastające zagrożenie ze strony białych armii — oto co zmusiło bolszewików do rozstania się z myślami o otwartym sądzie nad carem i podjęciu innych kroków w stosunku do jego rodziny”.

12 lipca Góloszczekin wrócił z Moskwy do Jekaterynburga. Tego samego dnia odbyło się nadzwyczajne posiedzenie komitetu wykonawczego Rady. Poproszono, aby przybyły z frontu przedstawiciel dowództwa ocenił aktualną sytuację. Odpowiedział jasno: nie ma nadziei na utrzymanie ofensywy. Atakujące siły interwentów i białogwardystów okrążają miasto z południa, naciskają wycofujące się oddziały czerwonych z dwóch stron, grupa uderzeniowa przeciwnika kieruje się ze stacji Kuzino wprost na miasto. Oddanie Jekaterynburga jest kwestią dni. Rozumiał to i wróg przycażony w mieście. Gęstniejąca wymiana informacji między domem Ipatiewa i manarchistycznym podziemiem, Romanowie wzywają pomocy, ponaglają. Listy z domu i do domu odnajdywane są w kawałkach chleba w opakowaniach żywności, w korkach od butelek. „W korku od butelki ze śmietany — wspomina komendant — wykryłem notatkę po angielsku: oficer donosił Romanowom,

że wszystko już przygotowane jest do uratowania ich, czeka się na ich zgodę. Po zrobieniu kopii notatki została umieszczona w korku i odesłana do adresata. Po 2-3 godzinach ta sama droga powędrowała odpowiedź Mikołaja, że są gotowi. Adresat został aresztowany. Był to oficer armii austriackiej nazwiskiem Macie”.

„Godzina wyzwolenia zbliża się — mówi jedna z karcetek przekazana Mikołajowi przez doktora Dieriewienko — dni uzurpatorów są policzone. Słowiańskie armie coraz bardziej zbliżają się do Jekaterynburga. Są już kilka wiorst od miasta. Wasi przyjaciele nie śpią. Długo oczekiwana godzina nadeszła”.

„Mamy nadzieję, że — bożą pomocą i waszą zimną krwią osiągniemy nasz cel nie ryzykując niczym — czytamy w jednym z listów dostarczonych do domu Ipatiewa. Jedno okno musi być zawsze otwarte. Proszę o dokładne wskazanie — które. Sprawa skomplikuje się bardzo mocno, jeśli okaże się, że maleńki carewicz nie będzie mógł sam iść... Napiszcie, czy potrzebni są dwaj ludzie do niesienia go, czy też zrobi to ktoś z was. Czy nie można by było na ten czas uspić go przy pomocy jakiegoś narkotyku? Niech zdecydujecie o tym doktor (Dieriewienko)... Bądźcie spokojni. Nie zrobimy niczego, jeśli nie będziemy wcześniej przekonani o sukcesie naszych poczynań. Obiecujemy to uroczystie w obliczu Boga, historii i własnego sumienia. Oficer”.

Ten sam Dieriewienko wysłał na zewnątrz domu jeden z listów napisanych ręką Mikołaja: „Drugie okno od węgla jest otwarte już od dwóch dni, nawet nocami. Okna 7 i 8 obok głównego wejścia, wychodzące również na plac są też zawsze otwarte. Pokój zajmuje komendant i jego pomocnicy, którzy są aktualnie strażą wewnątrz domu. Jest ich 13, są uzbrojeni w karabiny, rewolwery i granaty. W żadnych drzwiach, z

wyjątkiem naszych, nie ma kluczy. Komendant i jego pomocnik wchodzi do nas kiedy zechce. Dyżurny obchodzi dom dwa razy na godzinę, słyszymy jak stukają bronią pod naszymi oknami. Na balkonie stoi jeden karabin maszynowy, pod balkonem — drugi. Naprzeciw naszych okien, w małym domku po drugiej stronie ulicy, stacjonuje straż. Jest 50 osób. Wszystkie klucze i klucz nr 9 znajdują się u komendanta, który zachowuje się w stosunku do nas dobrze... Przed wyjściem stoi automobil. Zawiadomcie nas, kiedy przewidujecie możliwość uwolnienia i odpowiedźcie, czy możemy zabrać swoich ludzi.

„Nie widząc innego wyjścia z sytuacji komitet wykonawczy Rady Uralskiej pod koniec posiedzenia w dn 12 lipca podjął decyzję: rozstrzelać Romanowów nie czekając na sąd.

Nie było już ich gdzie i na czym wywozić.

12 lipca 1918 roku, rano w budynku Wołżańsko-Końskiego Banku w Jekaterynburgu zbierała się na posiedzenie komitet wykonawczy Rady Uralskiej. Przewodniczący Aleksander Georgijewicz Bieloborodow, w przeszłości elektromonter nadwładzkiej fabryki, Ma 27 lat. Do partii bolszewickiej wstąpił w wieku lat szesnastu. Za działalność rewolucyjną był sadzony przez sąd carski i skazany na więzienie.

Posiedzenie przebiegało w napiętej atmosferze. Ile czasu trwało — tego zapewne nie mógłby określić dokładnie nikt z jego uczestników. Późnym popołudniem Bieloborodow wstał i ogłosił wyniki głosowania. Komitet wykonawczy jednogłośnie zatwierdził decyzję. Pięćdziesięciu członków prezydium podpisuje papier.

Komu powierzyć wykonanie wyroku? Przewodniczący mówił: wrócił z frontu Piotr Zacharowicz Jermakow, kowal z Wierch-Isietska, w walkach przeciw dutowcom dowodził robotniczym oddziałem.

Wyleczył się z ran. Znany wszystkim uralski weteran. Ojciec trojga dzieci. Na każdym posterunku, na który wyznaczony rewolucja, wytrwa bez wahań.

Wezwał Jermakowa. Zapytał. Zgodził się. Poprosił do pomocy Awdiewa — byłego komendanta domu i Jurowskiego — komendanta obecnego.

16 lipca Romanowowie i ich służba położyli się spać o 10.30 wieczorem, jak zwykle. O wpół do dwunastej zjawili się w domu dwaj pełnomocnicy Rady Uralskiej. Polecili Jermakowowi i Jurowskiemu przystąpić do wykonania wyroku i wręczyć podpisywany przez członków prezydium dokument.

Grupa uzbrojonych robotników prowadzona przez pełnomocników Rady około północy weszła na pierwsze piętro. Jermakow i Jurowski obudzili śpiących, prosiąc, aby wstali i ubrali się. Jurowski oznajmił Mikołajowi: Jekaterynburg atakują białe armie, w każdej chwili miasto może się znaleźć pod ostrzałem artyleryjskim. Trzeba przenieść się z pierwszego piętra niżej.

Jedni za drugim wychodzą na korytarz członkowie rodziny Romanowowych i czwórka bliskich służ (Botkina, Charitonow, Troop i Demidowa). Schodzą za Awdiewem 23 stopnie w dół, między pierwszym i drugim piętrem. Wyszliszy na podwórze skracają ku wejściu i przestępują próg narożnego, półpiwnicznego pokoju. Powierzchnia tego pokoju — 6 x 5 metrów. Na ścianach tapety. Na oknach — masyczna krata żelazna. Podłoga cementowa.

Po wejściu do tego pokoju komisarz sprawiedliwości Jurowski wystąpił naprzód, wyjął z kieszeni bluzy mundurowej złożony w czworo arkusz papieru, rozwinął go i powiedział: „Uwaga. Ogłaszam decyzję Uralskiej Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich”.

Pod niskim, piwnicznym stropem głośno zabrzmiały pierwsze słowa „W imieniu ludu”...



Fot.: Archiwum

Tak samo mocno zabrzmiały następne... I zaraz potem, pod niskim stropem rozległy się wystrzały.

O 1 w nocny 17 lipca wszystko było skończone...

Dynastia Romanowowych zaczęła panować w 1613 r. po uroczystości koronacji Michała Romanowowa w Inpatiewskim Monasterze, swój koniec znalazła w Inpatiewskim domu.

Białe armie wdzierały się do Jekaterynburga. Robotnicy Ural zdecydowali, że nie odda w ręce kontrrewolucji ani żywych ani martwych Romanowowych. Przed świtem 17 lipca ciała rozstrzelanych wyniesiono na podwórze i ułożono w samochodzie ciężarowym. Samochód przejechał przez śpiące miasto i skierował się w stronę uroczyska Czterech Braci. Tu ciała rozstrzelanych zostały spalane.

W nocy z 17 na 18 lipca 24 godziny po rozstrzelaniu rodziny carskiej do budynku Napolejskiej Szkoły w Alapajewsku przybyła konna grupa robotników na czele z Piotrem Starcewem. Więźniowie zostali przewiezieni do lasu za wierzchnie-sinaczińska fabryka i tu, w odległości 11 wiorst od Alapajewskiej rozstrzelano ich.

Nocą 13 czerwca 1918 roku w pobliżu Permu rozstrzelano Michała Aleksandrowicza.

Czworo wielkich ksiąg rozstrzelano w Piotrogrodzie w styczniu 1919 roku. Uciekli za granicę ci członkowie rodziny Romanowowych, którym wiosną i latem 1917 roku udało się wyrwać z centrum kraju na południe.

Tak się skończyła stara epoka.

Tłumaczył:

MAREK WAWRZKIEWICZ

# MAGAZYN

ODGŁOSY

Szary jesenny dzień szybko zbliżał się ku końcowi. Wraz z nadciągającym mrokiem cisza opadała na ciemną wodę stawu. W oddali coraz jaśniej błyszczały światła miasta, lecz hałas metropolii nie mógł już przedrzeć się tu przez mrok.

Nad stawem, w miejscu gdzie woda była najczarniejsza i najgłębsza, stał mężczyzna. Oparty o pień drzewa, zdawał się na coś czekać. Sądząc z twarzy i postawy, mężczyzna, choć nie młodzieniec, nie był jeszcze stary. Twarz jego jednak wyrażała zmęczenie i głęboką udrękę. Jednocześnie dostrzec można w niej było przejmujący smutek i żal.

Po jakiejś chwili samotnik ten poruszył się, głęboko westchnął raz i drugi, popatrzył na dalekie światła miasta, potem na niebo i znowu wzdychając odwrócił się do stawu.

— Stój, mój synu! Stój! — rozległo się nagle wołanie z ciemności i między mężczyzną a stawem zjawiała się niewiadomo skąd ubrana na biało postać dostojnego brodatego starca.

— Znam twoje myśli, synu, i wiem, co chcesz uczynić — rzekł starzec. — Zgódź się jednak wbrew mi nie wysłuchać.

— Nie czekając na pozwolenie starcy mówił dalej.

— Samobójstwo jest rzeczą ostateczną. Śmierć przychodzi do każdego i nie ma od niej odwrotu. Samemu sobie śmierć zadacie zawsze zdążyć. Decyzje takiej wagi trzeba zawsze dobrze

przemysłać a opóźnienie w jej wykonaniu może ci tylko wyjść na dobre. Wiedz, że wielu z tych, którzy dotychczas odebrali sobie życie nigdy nie zdecydowałoby się na taki krok, gdyby nie to, że działali w stanie ogromnego

człwi i nie wszyscy myślą o tobie dobrze, więc aby ci zaszczyścić dodatkowych cierpień, zaprogramowałem urządzenie w ten sposób, że będzie ci nadawał tylko to, co ludzie o tobie pomyślą dobrze. Umówmy się, że przy-

— Gdy wróciłem do domu, zastałem kartkę od żony, że pojechała do teściów i że prosi, aby po nią przyjechać następnego dnia, niby dzisiaj, po pracy. Poszedłem więc na krótką chwilę do mojego najlepszego przyjaciela. Spędziłem u niego ponad godzinę czasu, a aparat milczał jak zakłety. Rano jechałem do pracy z tłoczonym autobusem i aparat dalej milczał. W pracy, jak zwykle, rozmowy z kolegami, znajomymi, ważna rozmowa z szefem; aparat w dalszym ciągu nic. Zaczęłem nawet podejrzewać, że może się zepsuł. Po pracy pojechałem do teściów po żonę i, oczywiście, pudełko dalej milczało.

Została mi na koniec tylko jedna nadzieja — żona. Przyjechałszy do domu. Po drodze kupiłem jej drobny upominek. Była ożywiona, dużo rozmawialiśmy. Po kolacji naprawiłem ciekawy kran oraz kilka innych drobnych rzeczy, a także wysprzątałem mieszkanie. Przez cały czas pudełko nie zadziało ani razu. Dopiero jak żona położyła się spać, na moment przedtem zanim zasnęła, aparat zadziałał, ale myślałem, że przez pomyłkę albo z litości.

— I co ci powiedział, synu? — spytał niecierpliwie starzec.

— Ech — machnął ręką mężczyzna — szkoda powtarzać. Wszystko, co moja żona pomyślała, to: „Dobrze, że ten mój chłop jest taki robotny, choć głupawy. Ale w robocie to jest z niego wyreka”.

## MARIANNA GOŹDZIK SAMOBÓJCA

wzburzenia i że natychmiast po podjęciu decyzji przechodzili do jej wykonania.

— Ja wszystko dobrze przemyslałem — przerwał starymu mężczyźnie. — Mnie nikt na tym świecie nie pożałuje. Dzięki za dobre chęci, dziadku, ale teraz idźcie już sobie do domu.

— Skąd wiesz, że nikt cię nie będzie żałował? — rzekł na to stary. — To tylko ty tak myślisz i mogę cię przekonać, że się mylisz.

Starzec posperzał w kieszeniach. — Weź to pudełko — rzekł wręczając desperatowi mały ciemny kształt. — Jest to urządzenie, które pozwoli ci poznać, co inni ludzie o tobie myślą. Ponieważ obaj wiemy, że nie wszyscy są ci ży-

dzieś tu znowu jutro o dwunastej w nocy i zdasz mi relację z tego, co się stanie. Jeśli będziesz trwał w swym postanowieniu odebrania sobie życia, nie będę cię powstrzymywał. Zgoda?

— Zgoda — rzekł po krótkim namyśle mężczyzna i zajął się oglądaniem pudełka. Gdy znowu podniósł oczy, starca już nie było. Westchnął więc ciężko jeszcze raz i powłócił się w kierunku jarzących się światła miasta.

Następnej nocy, około dwunastej, do samotnego czarnego stawu poza miastem zbliżyły się z dwu przeciwnych kierunków dwie znane nam postacie.

— No i co, synu? — zagadnął mężczyźni brodaty starzec. — Opowiadaj.

### HIGIENA CZŁOWIEKA ŚNIEGU

Coraz bogatsza staje się nasza wiedza o yeti — legendarnym człowieku śniegu. Filmowcom angielskim udało się wykonać zdjęcie śladów stóp yeti oraz jego odchodów. Filmowcy polscy sfotografowali ostatnio ślady stóp yeti, bez odchodów. Wysilki obu kinematografii zmierzają obecnie do utrwalenia na taśmie, jedynie odchodów yeti, bez śladów jego stóp.

### TAKTOWNIE I WESOŁO

Szykuje się nowa komedia filmowa, która zadowoli wreszcie nawet największych kone-

serów tego sympatycznego gatunku. Jej treścią będą wesole

**MAŁE KINO**

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G

przygody człowieka o zabawnym nazwisku. W bogatej ga-

lerii pozostałych postaci ujrzymy jakalów, zarozumiałe eksperymenty oraz przedstawiciela kapitalistycznej firmy — garbusa mańkuta z odstającymi uszami. Oczywiście będzie ona zabawna w sposób na tyle taktowny, by reż. Charlie Chaplin nie poczuł się zagrożony. Komedia ta bawiąc, również wiele nas nauczy.

### ENCYKLOPEDYSTA FILMOWY

Niedaleko Olszyny żyje ob. J. Ligęza, którego z dumą można nazwać największym encyklopedystą Sztuki Filmowej. Ta barwna, renesansowa prawie postać potrafi: uchwy-

cić temat i napisać zeń scenariusz wraz z dialogami, wyreżyserować samodzielnie arcydzieło filmowe, skomponować stosowną muzykę do dzieła oraz nakręcić planszę z napisem „KONIEC”. Warto jeszcze dodać, że ob. J. Ligęza umie napisać obiektywną recenzję o swoim dziele i dysponuje sumą potrzebną do nabycia biletu kinowego. Niestety, ob. J. Ligęza jest zatrudniony jako nadzorca elektrycznego pasterza w miejscowym PGR-rze i z powodu braku wolnego czasu nie może sprawdzić swoich talentów w praktyce.

## JACEK BROMSKI - STORY

Stara Matulakowa pod ostoją nocy wyszła z domu... Działo się tak co noc od wielu lat. Z wybiciem dwunastej...

CIEMNO, CHOĆ OŁO NYKŁO, PRAWNIEMI NIKT MNIE NIE ZOBACZY...

TEKĄZ BIEGIEM...

Matulakowa pędziła w noc... Zdawała się unosić ponad ziemią...

CHYBA SIĘ NIE SPŹNIĘ...

Ruszyła się z wawo. Była bardzo rzęska. W wsi mówiono: „Ta Laura Matulakowa to jeszcze do rzeczy kobiecina. Niby stara, ale ho, ho...”

Z zadumą spogłądała za nią sierżant Mrówka...

PRZELEGAŁ TAK CO REC KŁOŁ MOJEGO POSTERW KU TO ONA KNUJE JA STARA LAURA...

LIPSI SPRAWDZIŁO ONA TAM MA ZA INTERES...

MOŻE GDZIEŚ TAM OKRADA ŚLARB PAŃSTWA, SIŁA NIECZYSTA...

Już księżyc zaszedł, psy się uspiły i coś tam klaszcze za borem...

PEWNIENIE MNIE CZĘKA MOJ FILON MIŁY POD UMÓWIANYM JAWOREM...

— THE END —



Fot.: Archiwum

## POWIĘKSZENIA

DWA POWODY

„Coś z życia” w „Polityce” donosi że „Dziennikiem Zachodnim” co następuje:

„Nakładem Wydawnictwa Śląsk ukazała się jedna książka Stanisława M. Kuczyńskiego, która ma dwa różne tytuły: na obwołanie „Litwin i Andegawenka”, na okładce — „Jadwiga i Jagiełło”. Jeden z tych tytułów jest rabnięty autorowi nazwiskiem Szajnocha Karol”.

I dalej „Coś z życia” komentuje:

„Dziennik Zachodni” w związku z tym zżyma się. Uważamy, że jeśli uczeni mają z zasady po dwa co najmniej tytuły, to czymże książki gorsze są od ich autorów”.

Są po temu przynajmniej dwa powody. Pierwszy — autorem „Litwina i Andegawenki” jest Stefan M. Kuczyński, a nie Stanisław M. Kuczyński. Różnica drobna, ale istotna. Podejrzewamy, że w księce Wydawnictwa Śląsk nie wypłacił honorarium Stanisławowi M. Kuczyńskiemu, więc dlaczego ma odpowiadać za błędy wydawnictwa.

A po drugie — czasami warto obejrzeć to, o czym się pisze. Wtedy bowiem można byłoby się łatwo przekonać że oba tytuły: „Litwin i Andegawenka” oraz „Jadwiga i Jagiełło” figurują na obwołanie. Poza tym, gdyby obejrzało się errata, to wtedy można byłoby wyłapać wniosek, że książkę Stefana M. Kuczyńskiego wydano szczególnie niestarannie, gdyż w wnikliwej analizie erraty można dojść do wniosku, że jest ona pierwszą częścią trylogii, o czym wydawca ani słowa nie wspomina.

I tak Śląsk zawinił a Stanisława M. Kuczyńskiego powiesił.

### TEŚKNOTA ZA MORZEM

(an) z „Expressu Dustrwanego” donosi z Retkini:

„W środku, jak kapitan na mostku, czuwa nad całocią kier. budowy... Jest dosłownie rozrywany, wydaje dziesiątki poleceni: gniazdzka włożyć na gips, tu dajcie biały kolor, nie zapomnijcie o wywierceniu otworów, zmieścić śmiecie, tylko pokropcie najpierw wodą itd.”.

Nasza propozycja: wysłać (an) w krótki rejs choćby po Bałtyku, aby poznać różnicę między bosmanem a kapitanem.

**Kaczka patroszona**

**KLASA I**  
NAJLEPSZA JEST PIECZONA  
— NADZIEWANA JABŁKAMI

Łódzkie Zakłady Drobiarskie

POLDRÓB

176-k